UNIWERSYTET W BIAŁYMSTOKU

Instytut Historii UwB

HISTORIA

PO MATURZE:

Jednolite studia magisterskie stacjonarne i niestacjonarne

Specjalizacje w ramach studiów historycznych:
- Archiwistyczna
- Historia Europy Środkowo-Wschodniej
- Historia Wojskowości
- Ochrona i Promocja Dziedzictwa Kulturowego
- Społeczno – Ekonomiczna (Współczesna)
- Wiedza o Społeczeństwie
- Specjalność Nauczycielska
  (organizowana we współpracy z Centrum Edukacji Nauczycielskiej UwB)

PO LICENCJACIE:

Studia magisterskie uzupełniające niestacjonarne (zaoczne 2-letnie)

Specjalizacje w ramach studiów:
- Krajoznawstwo i Turystyka Pogranicza
- Integracja Europejska

PO MAGISTERIUM:

Podyplomowe Studium Historii
Podyplomowe Studium Archiwistyczne
Podyplomowe Studium Ochrony
i Promocji Dziedzictwa Kulturowego

Informacje o rekrutacji:
Instytut Historii Uniwersytetu w Białymstoku
Plac Uniwersytecki 1, 15-420 Białystok
tel./fax: 085-74-57-443, tel.: 085-74-57-444
e-mail: historia@uwb.edu.pl

www.historia.uwb.edu.pl

www.gryfita.pl

GRYFITA

BIAŁOSTOCKI MAGAZYN HISTORYCZNY

PRZEMOC

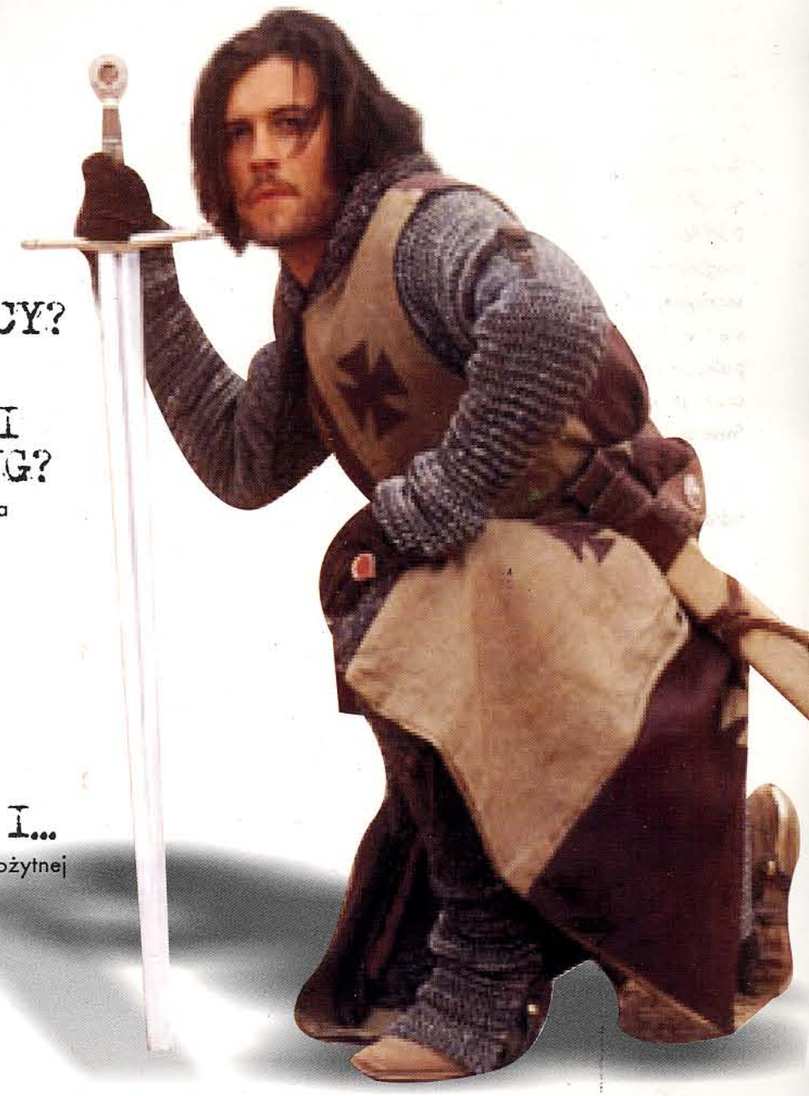

Spory o śmierć
ALEKSANDRA WIELKIEGO

„PAL GO KAT"
czyli tortury w średniowiecznej Europie

KRUCJATA PRZEMOCY?

CZY W PRZESZŁOŚCI STOSOWANO MOBBING?
Przemoc psychiczna a polityka wyznaniowa Zygmunta III Wazy i jego następców

PRZEMOC WŚRÓD ŻOŁNIERZY
w wojsku Rzeczypospolitej XVI-XVII w.

ŚLUBUJĘ CI MIŁOŚĆ, WIERNOŚĆ I...
- problem relacji małżeńskich w epoce nowożytnej

ANDERSONVILLE
wrota piekieł

numer 26/2006
www.gryfita.pl
WYDAWCA: Instytut Historii Uniwersytetu w Białymstoku
ISSN 1231-3041

www.historia.uwb.edu.pl

W NUMERZE:

Szanowni Państwo

Oddajemy w Państwa ręce kolejny numer „Gryfity". Podobnie jak poprzedni, ten także ma charakter tematyczny. Tym razem jest to „przemoc". Słowo to kojarzy się nam przede wszystkim z krwią i bólem. Nie wolno jednak zapominać, że agresja fizyczna to tylko jeden ze sposobów, w jaki przemoc objawia się w życiu ludzkim. W swych różnych przejawach towarzyszy ona ludzkości od jej zarania, będąc zjawiskiem wynikającym z ułomności natury ludzkiej, jak i narzędziem świadomie wykorzystywanym przez państwo z myślą o sprawowaniu kontroli nad społeczeństwem. Zwykle przyczynia się ona do niezliczonych nieszczęść pojedynczych jednostek ludzkich czy też całych społeczności. Często jednak staje się generatorem zmian, które po pewnym czasie postrzegamy jako zjawiska pozytywne. Zapraszamy więc do odwiedzenia wraz z nami gockiego cmentarzyska, średniowiecznej sali tortur, klasztoru, nowożytnej alkowy magnackiej i obozu jenieckiego z czasów wojny secesyjnej. Przyjrzymy się też praktyce pojedynkowania się w Rzeczpospolitej szlacheckiej, mobbingowi politycznemu uprawianemu przez Zygmunta III Wazę oraz przemocy towarzyszącej krucjatom do Ziemi Świętej.

Numer dostępny jest również w Internecie pod adresem www.gryfita.pl

Redakcja:
Krzysztof Boroda (sekretarz redakcji, kbrda@wp.pl), Piotr Chomik, Alina Czapiuk, Piotr Guzowski, Robert Kempa, Iwona Kulesza-Woroniecka, Marzena Liedke, Tomasz Mojsik, Łukasz Niewiński, Robert Suski, Wojciech Śleszyński, Tomasz Wesołowski

Wydawca:
Instytut Historii Uniwersytetu w Białymstoku
pl. Uniwersytecki 1

Skład i druk:
Zakład Poligraficzny ARES

ISSN 1231-3041

Internet: www.gryfita.pl

Spory o śmierć Aleksandra Wielkiego 1
EWA WIPSZYCKA

Wampir z Jartyporów? 5
Czy Goci wierzyli w legendy o wampirach?
ROBERT SUSKI

Mnisi - Boży wojownicy 9
RAFAŁ KOSIŃSKI

„Pal go kat", 14
czyli tortury w średniowiecznej Europie
HANNA ZAREMSKA

Królestwo Ridleya Scotta 17
PIOTR GUZOWSKI

Krucjata przemocy? 22
PIOTR GUZOWSKI

Czy w przeszłości stosowano mobbing? 28
Przemoc psychiczna a polityka wyznaniowa Zygmunta III Wazy i jego następców
MARZENA LIEDKE

O zwadkach sarmackich i duelistach 32
IWONA H. PUGACEWICZ

Przemoc wśród żołnierzy 36
w wojsku Rzeczypospolitej XVI-XVII w.
KAROL ŁOPATECKI

Ślubuję ci miłość, wierność i... 42
- problem relacji małżeńskich w epoce nowożytnej
IWONA KULESZA-WORONIECKA

Zbrodnie w cieniu klasztoru 46
PIOTR CHOMIK

Andersonville 49
Wrota piekieł
ŁUKASZ NIEWIŃSKI

UNIWERSYTET W BIAŁYMSTOKU CZYTELNIA CZASOPISM BIBLIOTEKA GŁÓWNA

Spory o śmierć Aleksandra Wielkiego

EWA WIPSZYCKA

Wybrańcy bogów umierają młodo... zdanie to wyśmienicie pasuje do postaci Aleksandra Wielkiego. Król Macedończyków, który podbił imperium perskie rozstał się z życiem, po krótkiej chorobie, w wieku zaledwie 33 lat, 13 czerwca 323 roku (28 dzień macedońskiego miesiąca Daisios, a 29 babilońskiego Aiaru) w swym pałacu w Babilonie. Zapadł na zdrowiu raptem 10 dni wcześniej. Objawy choroby pojawiły się po uczcie zorganizowanej przez Mediosa. 18 dnia miesiąca Daisos Aleksander dostał wysokiej gorączki. Król, aby ulżyć swoim cierpieniom, spędził noc w łaźni, gdzie szukał ochłody. Mimo gorączki i pogarszającego się stale stanu zdrowia Aleksander nadal nieprzerwanie sprawował obowiązki królewskie (składał ofiary, rozmawiał ze współpracownikami). 24 dnia miesiąca Daisios król nie był w stanie poruszać się o własnych siłach, a następnego dnia utracił mowę. Stan jego zdrowia spowodował pojawienie się pogłosek o śmierci. W tej sytuacji wodzowie Aleksandra pozwolili żołnierzom przemaszerować koło łóżka monarchy i pożegnać się z nim. Aleksander miał problemy z uniesieniem głowy, nie był w stanie nic powiedzieć. Podawał żołnierzom rękę, oczami dając znak, że ich rozpoznaje.

Zgon był nagły, a choroba nie zapowiadała tragicznego końca. Zrozumiałe jest zatem, że wokół wydarzenia narosło sporo nieporozumień. Pojawiły się przede wszystkim plotki, że Aleksander nie zmarł złożony przypadkową chorobą, lecz został otruty przez swoich przyjaciół czy współpracowników.

W najnowszej superprodukcji filmowej poświęconej Aleksandrowi Wielkiemu, autorstwa Olivera Stone`a

napotykamy podobną wizję. Król pada tam ofiarą spisku swoich oficerów.

Wedle świadectwa Plutarcha podejrzenie, że Aleksander nie zmarł z przyczyn naturalnych, pojawiło się dopiero w sześć lat po jego śmierci. Osobą, która jako pierwsza sformułowała publiczne oskarżenie była matka Aleksandra, Olimpias. Według niej autorami tego niegodziwego czynu mieli być Antypater i jego synowie.Truciznę dostarczył Arystoteles (wielki filozof), do Babilonu przywiózł ją syn Antypatra, Kassander, a drugi jego syn, będący podczaszym króla, podał ją w pucharze wina. W odpowiedzi na te insynuacje opublikowano część efemerides (dziennika prowadzonego w sztabie Aleksandra i notującego wszystkie poczynania króla i ważniejsze działania armii). W udostępnionej wszystkim partii tekstu znajdował się opis ostatnich dni króla i jego ciągnącej się przez dziesięć dni choroby. Z opisu wynikało, że choroba była nagła i szybka, a możliwość otrucia nie była nawet brana pod uwagę.

Ustalenie prawdy w tej kwestii nie jest dziś możliwe, jednak ludzie żyjący w końcu IV w. p.n.e. nie byli wcale w lepszej sytuacji od nas. Trudno zawierzyć bowiem antycznym źródłom, skoro wiemy, że postawy ich autorów były zdeterminowane sympatią lub wrogością wobec Aleksandra. Ponadto sam temat był na tyle "romansowo podniecający", że wręcz zachęcał do popuszczenia wodzy fantazji.

Opis ostatnich dni króla zawarty w opartym m.in. na dziennikach królewskich *Żywocie Aleksandra* Plutarcha, nie jest dostatecznie dokładny, aby umożliwić postawienie diagnozy lekarskiej. Mimo, że nie jesteśmy nawet pewni czy mamy do czynienia z chorobą, odczuwamy wielką pokusę nazwania jej jakimś znanym nam terminem. Na ogół sądzi się, że Aleksander mógł zapaść na jakąś złośliwą formę malarii, która okazała się fatalna, gdyż liczne rany wojenne (pozostawiające po sobie, mimo zaleczenia, trwałe urazy) i stałe nadużywanie alkoholu osłabiły organizm króla. Ostatnio pojawiła się również próba wiązania śmierci Aleksandra z durem brzusznym.

Jeśli jednak króla otruto, w grę wchodziłoby tyle trucizn, że raczej niemożliwe jest wskazanie tej jednej konkretnej. Trzeba się też liczyć z ewentualnością stopniowego podtruwania, np. przy pomocy kilku dawek strychniny lub innej podobnie działającej substancji.

Spośród nowszych badaczy za otruciem opowiadają się W. Badian, R. Fox Lane, czy P. Goukowsky. Jeden z najwybitniejszych autorów biografii Aleksandra (i licznych studiów szczegółowych) - A. B. Bosworth - w jednym ze swych artykułów z 1971 r. gotów był przyjąć tezę wskazującą na otrucie władcy, jednak już w książce z 1988 r. okazał się dużo ostrożniejszy w formułowaniu wniosków. Aby w sprawie śmierci Aleksandra zająć rozsądną postawę trzeba zadać sobie pytanie: kto mógł być zainteresowany śmiercią króla? Kto mógł chcieć i kto byłby w stanie taki zamiar zrealizować? Na pewno nie sam Kassander i jego brat, ci bowiem łatwo zostaliby odkryci. Szanse powodzenia miał jedynie spisek obejmujący znaczną część otoczenia króla, ponieważ uczestnicy takiego spisku byliby w stanie nie dopuścić do ujawnienia winnych i potrafiliby zatuszować sprawę. Zatem bez udziału wyjątkowo wpływowego Perdikkasa, a także osobistego lekarza Aleksandra i kilku innych ważnych dworskich postaci, rzecz nie mogłaby się udać.

Czy jednak ludzie znajdujący się w otoczeniu króla i uzyskujący dzięki temu odpowiednio wysoką pozycję i bogactwa poczuli się na tyle zagrożeni, aby zaryzykować otrucie? Twierdząco na to pytanie odpowiadali w ostatnich latach A. B. Bosworth i R. Fox Lane. P. Goukowsky zwracał jednak uwagę, że represje, które dotknęły elitę imperium Aleksandra po powrocie z Indii, nie objęły w najmniejszym stopniu grona najbliższego władcy. Od czasów egzekucji Parmeniona i Filotasa, stracenia paziów, którzy zorganizowali spisek i śmierci Kallistenesa, współdziałanie Aleksandra i jego osobistej świty było harmonijne (a przynajmniej znane nam źródła nie sugerują istnienia jakichkolwiek konfliktów). Nie da się wykluczyć, że król zachowywał się coraz bezwzględniej, a jego brutalność budziła lęk nawet w uprzywilejowanym gronie. Ale czy tak było w rzeczywistości? Dzisiejsi autorzy biografii Aleksandra mają w ogóle skłonność do przesadnego podkreślania szybkiego wzrostu negatywnych cech charakteru władcy w ostatnich latach jego życia. Nawet jeśli mają w tym wypadku rację, to udowodnić się tego niestety nie da. Pamiętajmy, że to, co nam przekazują źródła jest wielce podejrzane: teza o stopniowej deprawacji Aleksandra była tak efektowna a jednocześnie dawała takie pole do popisu retorom, że mało kto był w stanie ją odrzucić.

Zwolennicy tezy o otruciu winni pamiętać, że takie podejrzenie łatwo się rodzi, gdy umiera nagle ktoś wielki, a jednocześnie w (dość) młodym wieku - a więc ktoś, kto umierać nie powinien. W starożytności takie interpretacje pojawiały się niezwykle często.

Cóż da się powiedzieć na koniec? Nie wiemy i wiedzieć nie będziemy. Pocieszmy się tym, że współcześni Aleksandra nie byli jednak w lepszej sytuacji.

Źródła dotyczące rzekomego otrucia Aleksandra Wielkiego:

Arrian, Wyprawa Aleksandra Wielkiego, 7, 26-27: *Niewiele w tym [opisie śmierci Aleksandra] różnią się relacje Aristobula i Ptolemajosa [...] Wiem, że jest jeszcze wiele innych opisów śmierci Aleksandra, że mianowicie Antypater przysłał truciznę dla Aleksandra i że zmarł on skutkiem zużycia tej trucizny. Tę truciznę miał Antypatrowi dostarczyć Arystoteles dostarczyć Arystoteles, obawiający się Antypatra. Inni podawali nawet, że przywiózł ją Kassander syn Antypatra. Inni podawali nawet, że przewiózł ją Kassander w kopycie muła, a podał Jollas, młodszy brat Kassandra. On bowiem był podczaszym królewskim, którego na krótko przed swoim zgonem obraził Aleksander. Inni mówili, że uczestniczył w tym również Medios, który był amantem Jollasa. Bo on miał namówić Aleksandra do uczty, a Aleksander doznał ostrego bólu przy piciu i skutkiem tego oddalił się z uczty [...] Opisałem to raczej, by wykazać, że nie obce mi są takie opowieści niż że zasługują na wiarę i uwzględnienie.* (tł. L.Winniczuk)

Plutarch, Żywot Aleksandra, 77: *Podejrzenia o otruciu zrazu nie było żadnego. Dopiero w sześć lat później Olimpiada, podobno na skutek donosu, kazała stracić wielu ludzi, a zwłoki zmarłego tymczasem Jollasa kazała z grobu wyrzucić, w przekonaniu, że on był tym, który Aleksandrowi podał truciznę. Niektórzy twierdzą nawet, że sam Arystoteles był doradcą Antypatra w wykonaniu tego czynu i że w ogóle on właśnie dostarczył tam tej trucizny. Tak przynajmniej miał opowiadać jakiś Hagnotemis, który znowu słyszał to podobno od Antygonosa, kiedy ten został królem [...]*

Większa część autorów uważa jednak całą tę historię z trucizną za czysty wymysł. A najlepszym dowodem tego jest ich zdaniem, fakt, że wodzowie spierali się potem przez kilka dni o władzę, nie troszcząc się o zwłoki Aleksandra, które tymczasem leżały nie pogrzebane. I mimo, że było na tych zwłokach żadnych objawów tego rodzaju żrącego działania, lecz pozostały czyste i świeże. (tł. M. Brożek)

Kurcjusz Rufus, Historia Aleksandra Wielkiego, 10, 31: *Panowało przekonanie, że Aleksander został otruty. Opowiadano, że truciznę podał mu jeden z jego dworzan Iollas syn Antypatra a miał to zrobić na rozkaz ojca. Rzeczywiście często słyszano jak Aleksander mówił, że Antypater rości sobie pretensje do władzy królewskiej, że wbiło go w pychę jego stanowisko satrapy i zwycięstwo nad Spartą [...] Jakkolwiek sprawa się miała, najpierw dano temu wiarę, potem plotki przycichły, słabsze były od potęgi imienia ludzi, o których przedtem źle mówiono. Przecież Antypater objął władzę w Macedonii i w Grecji, po nim rządził syn jego Kassander, a jak wiadomo, on to kazał stracić wszystkich, których łączyło z Aleksandrem nawet dalekie pokrewieństwo.* (tł. L. Winniczuk)

tetradrachma *(nomismatique.hpq.iq.com.br)*

złoty stater alexandra *(roth37.it)*

stater Lizymacha *(tetmuseum.org.pl)*

ZALECANA LITERATURA:

E. Badian, *Conspiraces* [w:] A. B. Bosworth, E. J. Baynham (eds.), *Alexander the Great in Fact and Fiction*, Cambridge 2000.

A.B. Bosworth, *The Death of Alexander the Great: Rumour and Propaganda*, "Classical Quarterly" 21 (1971), 93-105.

A.B. Bosworth, *Conquest and Empire: The Reign of Alexander the Great*, Cambridge 1988.

P. Goukowsky, *Essai sur les origines du mythe d'Alexandre*. t.I. Les Origines politiques, Paris 1978

P. Green, *Aleksander Wielki*, Warszawa 1973

N.G.H. Hammond, *Geniusz Aleksandra Wielkiego*, Poznań 2000.

R. Lane Fox, *Alexander the Great*, London 1973.

K. Nawotka, *Aleksander Wielki*, Wrocław 2004.

ZDJĘCIA:

www.alexander-the-great.co.uk

Wampir z Jartyporów?

Czy Goci wierzyli w legendy o wampirach?

ROBERT SUSKI

Nie trzeba nikogo przekonywać, że badania archeologiczne odgrywają niezwykle ważną rolę w rekonstrukcji przeszłości i bez nich nasza wiedza o historii ludzkości byłaby zdecydowanie uboższa. Zdarza się jednak, że wykopaliska dostarczają intrygujących śladów działania naszych przodków, których interpretacja wobec braku współczesnych im przekazów pisanych okazuje się być niezwykle trudna. Czasami wyjaśnienie niezrozumiałych dziś dla nas praktyk (poznanych dzięki pracy archeologów) staje się możliwe poprzez poszukiwanie analogii w zwyczajach społeczności bliższych nam czasowo. Dzięki tej metodzie możliwe było na przykład określenie funkcji, jaką w czasach istnienia Imperium Romanum pełniły rzymskie medaliony znajdowane na terenach europejskiego barbaricum. Wodzowie germańscy nosili je zapewne na piersiach jako oznakę swej władzy, analogicznie jak indiańscy wodzowie Irokezów czynili z medalami otrzymywanymi od królów francuskich. Bywa jednak i tak, że doszukiwanie się analogii pomiędzy obrzędami praktykowanymi w różnych, czasem odległych od siebie epokach, może zaprowadzić nas na manowce.

Niedawno w Jartyporach niedaleko Węgrowa w województwie mazowieckim odkryto cmentarzysko z epoki żelaza, na którym swych zmarłych chowała ludność kultury wielbarskiej, a więc zapewne Goci. Wśród odkrytych pochówków szczególną uwagę zwraca jeden - grób szkieletowy nr 122 w którym znaleziono szczątki dziecka zmarłego prawdopodobnie w wieku 8 lub 9 lat. Dolna część szkieletu dziecka była dobrze zachowana i leżała w układzie anatomicznym. W grobie brakowało jednak czaszki (znaleziono jedynie jeden ząb), a kości składające się na górną część ciała były rozczłonkowane i bezwładnie rozrzucone. Nie znaleziono także kości stóp, choć ich brak można tłumaczyć specyficznymi warunkami glebowymi na cmentarzysku, gdyż w wielu innych grobach kości pochowanych osób uległy niemal zupełnemu rozkładowi. Analizy przeprowadzone przez archeologów wykazały, że jakiś czas po pogrzebie - gdy ciało dziecka uległo już częściowemu rozkładowi - grób został rozkopany. Wtedy to właśnie rozkawałkowano górną część ciała i usunięto czaszkę. Wydaje się, że zakłócenie spokoju zmarłego raczej nie miało charakteru rabunkowego. Chociaż nie można wykluczyć, że znajdujące się pierwotnie w górnej części grobu wyposażenie zmarłego zostało zabrane, ale chęć okradzenia zmarłego dziecka nie tłumaczy tak makabrycznego potraktowania jego ciała. Wydaje się więc, że mamy tu raczej do czynienia nie z rabunkiem, lecz z jakimś specyficznym obrzędem. Niestety w jego zrozumieniu nie pomagają nam źródła pisane. Jordanes, jedyny autor antyczny przekazujący nam legendy Gotów, nie wspomniał nic o ich zwyczajach pogrzebowych. Także żyjący wcześniej od niego Tacyt, autor dzieła traktującego ogólnie o wszystkich Germanach, nie pomaga nam w rozszyfrowaniu tej zagadki.

Lilith
(E. Petoia, Wampiry i wilkołaki, Kraków 2004.)

Pochówki cząstkowe w Europie w okresie wpływów rzymskich.

Próba rozwiązania zagadki tak brutalnego potraktowania zwłok dziecka wymaga najpierw udzielenia odpowiedzi na pytanie, czy takie postępowanie z ludzkimi szczątkami było w tamtych czasach typowe, czy też może było ono czymś wyjątkowym. Przypadki tego typu praktyk (tzw. pochówków cząstkowych) w Europie w okresie wpływów rzymskich znane są z terenów dzisiejszych Niemiec, Danii, Czech, Słowacji, Polski (występują one w kulturach przeworskiej i wielbarskiej), Ukrainy (kultura czerniachowska) Rumunii (kultura Sîntana de Mureş), z wschodniego wybrzeża Morza Bałtyckiego (kultury zachodniobałtyjskie), a także z cmentarzysk używanych przez Sarmatów (np. na Ukrainie). Ich udział w ogólnej liczbie odkrytych dotąd grobów jest jednak różny zależnie od regionu. O ile na terenie Skandynawii pochówki cząstkowe są wielką rzadkością, to na terenie dzisiejszej Ukrainy (kultura czerniachowska) oraz na obszarze dzisiejszej Lubelszczyzny (zamieszkiwała ją ludność grupy masłomęckiej będącej częścią kultury wielbarskiej), są one niezwykle częste, stanowiąc w przypadku grupy masłomęckiej około 30% wszystkich odkrytych grobów. Obie te kultury wiąże się z faktem pobytu na

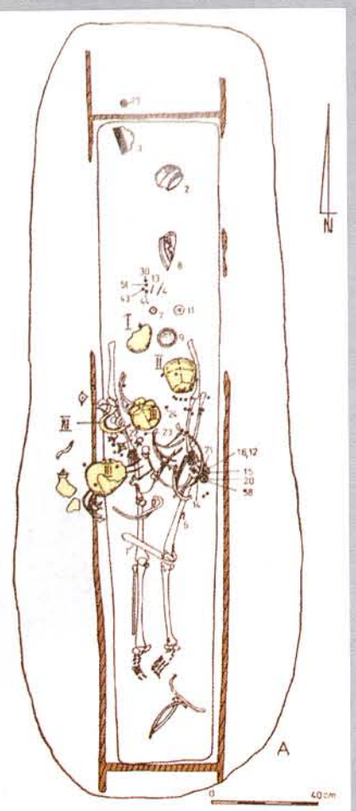

Grób kobiety z Masłomęcza
Zmarłej ofiarowano czaszki innych kobiet
(A. Kokowski, *Archeologia Gotów*, Lublin 1999.)

tych terenach Gotów.

W grupie masłomęckiej pochówki cząstkowe to zwykle groby osób zmarłych w wieku dorosłym, zawierające dobrze zachowane dolne partie szkieletów poniżej 10 kręgu kręgosłupa, ale zarazem charakteryzujące się brakiem kości górnych części ciała jak też czaszki. W niektórych przypadkach szkielet był rozcięty wzdłuż kręgosłupa i pozbawiony czaszki. Nierzadko w pobliżu takich grobów znajdowano przepalone ludzkie kości (w przypadku 12% tego rodzaju pochówków stwierdzono, że należały one do osób złożonych w grobie). Niekiedy w grobach odkrywano kości należące jednocześnie do kilku osób. Znany jest na przykład grób cząstkowy kobiety, nad którym znajdowały się pochówki trojga dzieci (najprawdopodobniej była ona ich matką). Za każdym razem gdy chowano kolejne dziecko, rozkopywano także grób kobiety, wyjmowano część jej kości i wkładano je do grobu kolejnego dziecka. Dużo rzadziej pochówki cząstkowe spotykane są na terenach zasiedlonych przez ludność kultury przeworskiej. Na przykład w Żernikach Wielkich na ogólną liczbę 55 grobów (65 pochówków) było ich jedynie 5, a znajdującym się w nich zmarłym odcięto na przykład głowy (w dwóch przypadkach złożono je przy stopach zmarłego, w jednym umieszczono pomiędzy jego ramionami), lub rozrzucono kości tułowia i rąk. Chociaż cmentarzysko to znajdowało się - jak już wspomniałem - na obszarze kultury przeworskiej, która identyfikowana jest z Wandalami, to część badaczy jest zdania, że ze względu na dominowanie innej formy pochówków cząstkowych na pozostałych znanych cmentarzyskach wielbarskich, należy je łączyć raczej z Gotami i kulturą wielbarską.

Fenomen istnienia pochówków cząstkowych można próbować wyjaśnić przy użyciu różnych hipotez. W niektórych przypadkach możemy mieć do czynienia z działaniem czynników naturalnych (działanie zwierząt naruszających układ kości, czy też nierównomierne, uzależnione od rodzaju gleby, tempo rozkładu poszczególnych partii szkieletu). Druga hipoteza zakłada, że mamy do czynienia z działaniem ludzi, którego celem nie było jednak naruszenie układu kości (na przykład rozkopanie grobu w celach rabunkowych). Trzecia możliwość to świadome działania ludzkie mające charakter praktyk religijno-magicznych.

W przypadku pochówków cząstkowych pośród Gotów (kultury wielbarska i czerniachowska), czy [ewentualnie] Wandalów (kultura przeworska) nie wchodzą w grę ani czynniki naturalne, ani złodzieje. W grupie masłomęckiej otwarcia grobów w celach rabunkowych były nieliczne (spośród odkrytych do 1993 roku 560 pochówków ślady ograbienia nosiło zaledwie 7). Co więcej, w przypadku ograbionych grobów złodzieje wyraźnie unikali naruszenia ciała zmarłego. Ciała dziecka z Jartyporów nie zbezczeszczono więc przypadkowo podczas rabunku, lecz zostało ono zmasakrowane celowo. Powstaje więc pytanie, dlaczego poddano go tak makabrycznym zabiegom?

Wiara w wampiry w średniowieczu i okresie nowożytnym.

Część archeologów uważa, że w przypadku pochówków cząstkowych w kulturach wielbarskiej i przeworskiej (a więc również w przypadku dziecka z Jartyporów) mamy do czynienia ze zjawiskiem analogicznym do praktyk spotykanych w średniowieczu i epoce nowożytnej - uznaniem zmarłego za żywego trupa, upiora, wampira żywiącego się ludzką krwią.

Sam termin „wampir" pochodzi z XVIII w., ale opowieści o stworach żywiących się ludzką krwią są dużo starsze. Najstarszą w Europie legendę o wampirach spisano w XII wieku. Z VIII wieku z terenu Saksonii znane są przypadki bezczeszczenia zwłok osób uznanych za strzygi (w tym wypadku pojęcie „strzyga" odpowiada zapewne dzisiejszemu terminowi „wampir" i określanych tym pojęciem stworów nie należy raczej utożsamiać z występującymi w mitologii rzymskiej pod tą samą nazwą złowrogimi istotami). Legendy o wampirach były popularne w średniowieczu i czasach nowożytnych na terenie Wysp Brytyjskich, Niemiec, Skandynawii, na obszarach Europy Środkowej i Wschodniej oraz przede wszystkim na Bałkanach. Natomiast były one nieznane w zachodniej części basenu Morza Śródziemnego (Francja, Italia, Półwysep Iberyjski). Szczególnie silna wiara w istnienie wampirów widoczna jest na ziemiach zamieszkanych przez Słowian (między innymi na terenie dzisiejszej Polski), skąd pochówki wampiryczne znane są począwszy od wczesnego średniowiecza. Wobec szczególnego umiłowania przez Słowian legend o wampirach wielu badaczy podejrzewa, że narodziły się one właśnie wśród ludów słowiańskich, choć trudno jest orzec, na ile owe przypuszczenia są słuszne.

Pochówki wampiryczne - czyli takie, w których odnajdujemy ślady unieszkodliwiania domniemanego wampira poprzez wbicie gwoździa w głowę, kołka w klatkę piersiową, odcięcie głowy i umieszczenie jej w nogach trupa oraz zmasakrowanie kości klatki piersiowej i rąk znane są z terenów Europy Zachodniej i Środkowej począwszy od średniowiecza, aż po wiek XVIII. Wiara w istnienie wampirów była na tyle powszechna, iż zdarzało się, że w czasie epidemii na polecenie władz miejskich masakrowano ciała osób uznanych za wampiry (najczęściej ucinano im głowy). W czasach nowożytnych wiara w istnienie wampirów zawędrowała, wraz z kolonistami europejskimi, do Ameryki Północnej, gdzie w tym okresie czasu także pojawiły się pochówki wampiryczne, a na terenie Europy Południowej i Wschodniej jeszcze pod koniec XIX wieku zdarzały się przypadki bezczeszczenia zwłok zmarłych w sposób wyraźnie sugerujący, że uznano je za wampiry. Za powszechnością stosowaniu tego rodzaju praktyk przemawiają także wydawane w Europie zakazy profanacji grobów, przy czym ostatnie tego rodzaju regulacje prawne pochodzą z XIX-wiecznej Rosji. Wiara w istnienie wampirów była tak żywotna, że w Bułgarii jeszcze na początku XX wieku istniał zwyczaj ekshumowania ciała osoby zmarłej trzy lata po jej śmierci. Jeśli zwłoki nie nosiły śladów rozkładu uznawano, że albo zmarły jest upiorem, albo ciąży na nim klątwa. Aby unieszkodliwić potencjalnego upiora odprawiano wówczas mszę, dzięki której dusza zmarłego miała zaznać spokoju.

W XVIII w. wiara w wampiry była na tyle silna, że spotkała się z oficjalnym potępieniem ze strony papieża Benedykta XIV, a cesarzowa Maria Teresa zapowiedziała karanie osób bezczeszczących zwłoki domniemanych upiorów. W XIX wieku, gdy w Europie Zachodniej wygasła wiara w istnienie wampirów, stwory te zapełniły strony powieści grozy (najbardziej znana wśród nich jest książka *Dracula* B. Stokera), a wraz z wynalazkiem kina stały się także bohaterami filmów.

Sceptycyzm i brak rozwiązania zagadki

Czy więc dziecko z Jartyporów zostało uznane za wampira i dlatego poddano jego zwłoki tak wstrząsającym praktykom? Czy Goci wierzyli w legendy o wampirach? Niestety jednoznaczna odpowiedź na te pytania nie jest możliwa. Rzeczywiście, praktyki jakim poddano zwłoki dziecka przypominają późniejsze (średniowieczne) rytuały antywampiryczne. Gdyby grób dziecka pochodził ze średniowiecza, wypadałoby uznać go za przypadek pochówku wampirycznego. Ale pierwsze pochówki wampiryczne są o kilka wieków późniejsze niż grób dziecka z Jartyporów. W starożytności co prawda funkcjonowały legendy mówiące o istotach żywiących się ludzką krwią, ale nie odnajdujemy wśród nich dokładnych odpowiedników średniowiecznych i nowożytnych wampirów. Także mitologia germańska nie zna istot będących odpowiednikami wampirów. Dlatego chyba należy poszukać innego wytłumaczenie specyficznych praktyk pogrzebowych jakim poddano dziecko pochowane na cmentarzysku w Jartyporach.

Grób zawierający wyłącznie górną część szkieletu
(A. Kokowski, *Archeologia Gotów*, Lublin 1999.)

Szkielet z „odciętą" górną połową ciała
(A. Kokowski, *Archeologia Gotów*, Lublin 1999.)

Co prawda w kulturze wielbarskiej pochówki cząstkowe przypominają średniowieczne zabiegi antywampiryczne, ale trudno to samo powiedzieć o grobach należących do kultury czerniachowskiej czy grupy masłomęckiej. Spotykane tam praktyki pogrzebowe nie są identyczne z zabiegami antywampirycznymi znanymi z czasów późniejszych. Owe różnice pozwalają domniemywać, że za podobnymi obrzędami nie kryją się więc identyczne wierzenia.

W przypadku Gotów pochówki cząstkowe mogły wynikać z ich zamiłowanie do „makabrycznych" amuletów. W grobach gockich odnajdowane są bowiem wisiorki wykonane z fragmentów kręgów kręgosłupa, czy też przeznaczone do noszenia na szyi woreczki z zębami (oczywiście chodzi o kości i zęby ludzkie). Innym możliwym wytłumaczeniem istnienia grobów cząstkowych może być swoista specyfika obrządku pogrzebowego, gdyż - jak wspomniałem już wcześniej - w pobliżu lub we wnętrzu części grobów odnajdowano przepalone kości należące do znajdującej się w nim osoby. Inna możliwość to chęć zamanifestowania w specyficzny sposób związków pomiędzy zmarłymi poprzez wkładanie do grobów dzieci kości ich rodziców. Możliwe też, że pochówki cząstkowe wśród Gotów pojawiły się pod wpływem kontaktów kulturowych z Sarmatami, którzy sami stosowali wobec swoich zmarłych makabryczne z dzisiejszego punktu widzenia praktyki. Być może Goci pod wpływem Sarmatów uznali, że ćwiartowanie zwłok

umożliwia ich regenerację, czy też powtórne narodzenie się zmarłego. Przejęcie tego wierzenia od Sarmatów (a wraz z nim towarzyszących mu zwyczajów pogrzebowych) jest prawdopodobne. Nie wolno jednak w tym miejscu zapominać, iż pochówki cząstkowe wśród Gotów pojawiły się w czasach, gdy zamieszkiwali oni jeszcze dzisiejsze ziemie północnej i centralnej Polski, co może podważać tę tezę. Widoczne podobieństwa między gockimi a sarmackimi obrzędami pogrzebowymi wcale więc nie muszą okazać się pomocne w rozwiązaniu tej zagadki. Tym bardziej, że sami Sarmaci nigdy nie stanowili jedności polityczno-kulturalnej, a na ich cmentarzyskach spotykamy różnorodne sposoby grzebania zmarłych. Skazani więc jesteśmy na konstruowanie hipotez opartych na niepewnych przesłankach i domniemaniach. W efekcie nigdy zapewne nie będziemy w stanie stwierdzić z całą pewnością, co skłoniło Gotów (a także Sarmatów) do stosowania tak nietypowych dla nas praktyk pogrzebowych.

Przypadek grobu dziecka z Jartyporów (jak i innych podobnych mu pochówków) uwidacznia więc ograniczenia stojące przed archeologią, których nauka ta nie jest w stanie przełamać. Archeolog pozbawiony tekstów literackich jest bowiem skazany na domysły i szukanie analogii z innych znanych nam kultur dla śladów praktyk kulturowych które odkrywa w trakcie badań wykopaliskowych. A im bardziej badana epoka jest odległa od naszej własnej i im mniej o niej wiemy, tym więcej kontrowersji owe próby mogą budzić.

Istoty wampiryczne świata starożytnego

Starożytni nie znali mitów o umarłych przedstawicielach rodzaju ludzkiego, którzy po zmartwychwstaniu żywiliby się ludzką krwią. W folklorze ludów basenu Morza Śródziemnego w starożytności pojawiają się natomiast różnego rodzaju istoty żywiące się ludzką krwią i przypominające klasyczne wampiry. Są to:

Lamia w mitologii greckiej pochodząca z Libii córka Belosa i Libii. Jej uroda zwróciła uwagę Zeusa. Zazdrosna Hera pozabijała jednak wszystkie dzieci, które były owocem tego związku. Ból przemienił Lamię w straszliwego potwora, który zabijał i pożerał małe dzieci. Lamia również uwodziła młodzieńców, aby wypić ich krew. W *Metamorfozach* Apulejusza spotykamy dwie czarownice nazywane „lamiami", które wyssały krew podróżnikowi Sokratesowi.

Empuzy córki Hekate, wabiły mężczyzn przyjmując postać urodziwych dziewcząt, aby wypić ich krew. Filostratos w *Żywocie Apolloniosa z Tyany* (III w.) opisuje, że Apollonios uratował w Koryncie młodzieńca przed empuzą, która zmuszona przez filozofa przyznała, że „karmi się ona pięknymi i młodymi ciałami, dopóki jest w nich jeszcze czysta krew". Inną empuzę Apollonios spotkał na Kaukazie (a więc w miejscu dalekim, w jakim powinno się spotykać istoty bajkowe i potwory). Obraz empuzy nakreślił Arystofanes w *Żabach*.

Strzygi (łac. Strix) półptaki, półkobiety, obdarzone ptasimi skrzydłami i szponami (w okresie późniejszym utożsamiane z wampirami). Wedle rzymskiego folkloru wysysały one krew z dzieci i zjadały ich wnętrzności. Przed tymi potworami broniła dzieci nie tylko opieka matek czy nianiek, ale i nimfa Karna (*Metamorfozy* Owidiusza). Co prawda Pliniusz Starszy nie wierzył w istnienie strzyg, ale wydaje się, że wiara w nie w starożytnym Rzymie była chyba powszechna. W pierwszym średniowiecznym źródle (saskie kapitularze z VIII w.) poświadczającym wiarę w istnienie wampirów określa się te istoty właśnie terminem „strzygi", a w okresie późniejszym termin „strzyga" stał się jednym z synonimów pojęcia „wampir".

Lilit w mitach żydowskich pierwsza żona Adama, następnie zły duch wysysający krew z małych dzieci, lub też duszący je. Podobieństwo do Lamii z greckiej mitologii sprawiło, że św. Hieronim utożsamił obie postacie. Lilit miała też uwodzić mężczyzn podczas snu.

Larwy i Lemury - duchy osób tragicznie zmarłych, które dręczyły żywych. Z Lemurami związane było święto obchodzone 9, 11 i 13 maja. W te dni pater familiae miał w nocy czuwać i pstrykając palcami chronić siebie i swoją rodzinę przed atakami Lemurów (obrzęd ten wspomina Owidiusz w *Metamorfozach*).

BIBLIOGRAFIA

Opis grobu dziecka z cmentarzyska z Jartyporów, zaczerpnąłem z artykułu:
J. ANDRZEJOWSKI, A. ŻÓRAWSKA, M. BIBOWSKA, W. KAPLA, *Grób 122 z cmentarzyska kultury wielbarskiej w Jartyporach na Podlasiu. Nowe materiały do badań nad obrządkiem pogrzebowym w gockim kręgu kulturowym*, [w:] *Badania archeologiczne w Polsce północno-wschodniej i na zachodniej Białorusi w latach 2000-2001*, Białystok 2002, s. 253-270.

Wybrana literatura:

B. BARANOWSKI, *W kręgu upiorów i wilkołaków*, Łódź 1981.
A. BŁAŻEJEWSKI, *Obrządek pogrzebowy kultury Przeworskiej na Śląsku*, Wrocław 1988.
M. ELIADE (ed.), *The Encyclopedia of religion*, Macmillan 1987.
P. GRIMAL, *Słownik mitologii greckiej i rzymskiej*, ossolineum1990.
A. KARPIŃSKI, *W walce z niewidzialnym wrogiem*, Warszawa 2000.
A. KOKOWSKI, *Zagadnienie pochówków cząstkowych w grupie masłomęckiej*, [w:] *Wierzenia przedchrześcijańskie na ziemiach polskich*, Gdańsk 1993, s. 118-124.
A. KOKOWSKI, *Grupa masłomęcka (z badań nad przemianami kultury Gotów w młodszym okresie rzymskim)*, Lublin 1995.
A. KOKOWSKI, *Archeologia Gotów. Goci w kotlinie hrubieszowskiej*, Lublin 1999.
A. KOKOWSKI, *Przyczynek do historii kontaktów Germanów i Sarmatów w świetle badań archeologicznych* [w:] *Sarmaci i Germanie*, Lublin 2004, s. 11-69.
A. KOKOWSKI, *Starożytna Polska*, Warszawa 2005.
J. JASKANIS, *Obrządek pogrzebowy zachodnich Bałtów u schyłku starożytności*, Wrocław 1974.
E. PETOIA, *Wampiry i wilkołaki. Źródła, historia, legendy. Od antyku do współczesności*, Kraków 2004.
J. P. ROUX, *Krew. Mity, symbole, rzeczywistość*, Kraków 1994.
M. STANASZEK, *Pochówki wampirów w Polsce wczesnopiastowskiej*, „Archeologia Żywa", 2(11), 1999, s. 36-40.

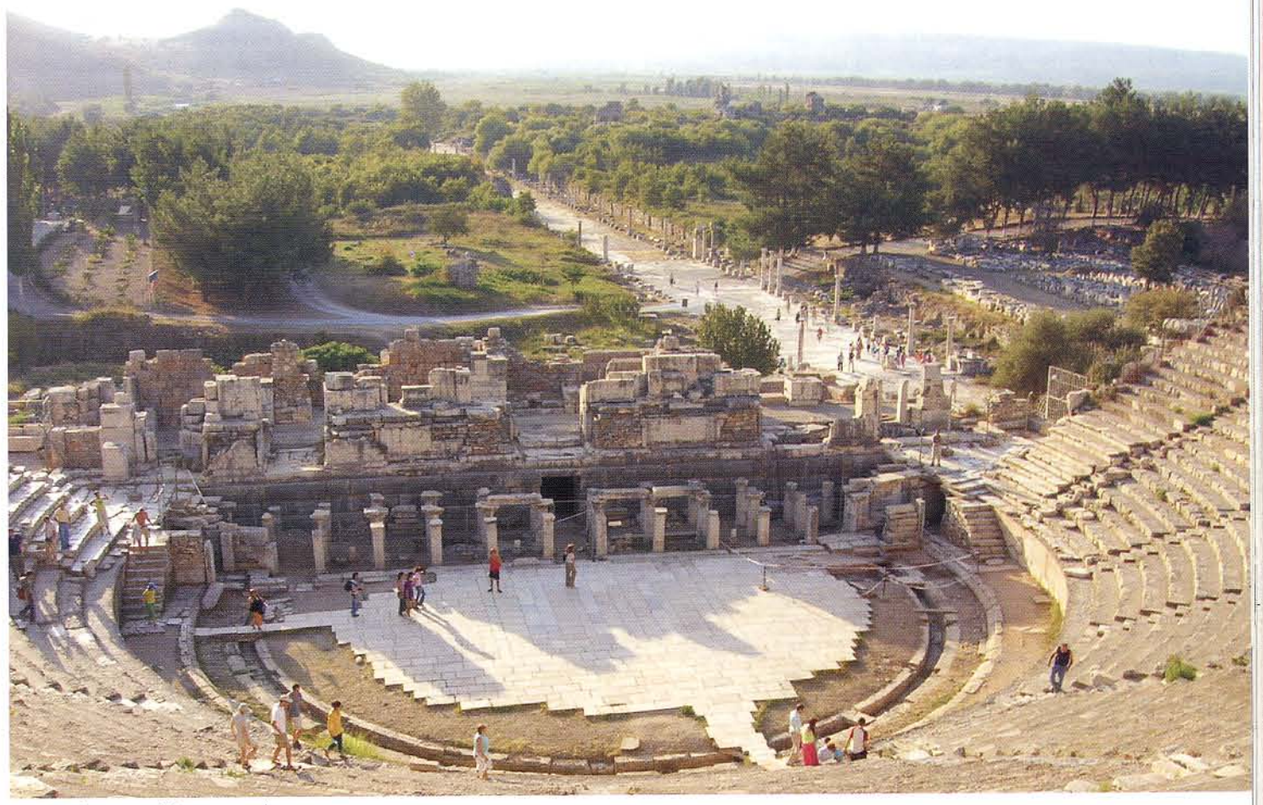

Teatr w Efezie - widok w stronę dawnego portu

Mnisi - Boży wojownicy

RAFAŁ KOSIŃSKI

W okresie późnego antyku w łonie chrześcijaństwa narodził się nowy, dynamiczny ruch ascetyczny - monastycyzm. IV, a zwłaszcza V wiek, to okres jego bujnego rozkwitu na ogromnych obszarach Egiptu, Syrii, Palestyny, Azji Mniejszej, czy też w rejonie stołecznego Konstantynopola.

A jednak, obok oczywistego podziwu, jaki ten fenomen wzbudzał wśród chrześcijan, przez długi czas budził on również zaniepokojenie hierarchii Kościoła. Postawa ta może wydawać się paradoksalna dlaczego bowiem uprawianie ascezy, wysoko wszak cenione przez Ojców Kościoła, miałoby budzić takie obawy?

W roku 434 lub 435 Hypatios, siedemdziesięcioletni wówczas igumen klasztoru w Rufinanach, stanął na czele dwudziestu mnichów i udał się do Chalcedonu, gdzie prefekt Konstantynopola Leontios postanowił przywrócić igrzyska. Na wieść o tym stary mnich zapałał świętm oburzeniem i w przeddzień igrzysk postanowił interweniować u biskupa tego miasta, aby ten nie dopuścił do batwochwalczego widowiska, gotów raczej umrzeć, niż pozwolić na wprowadzenie w życie pomysłu prefekta. Biskup Eulalios próbował uspokoić gorliwego mnicha, nakazując mu, by nie wtrącał się w te sprawy. Hypatios nie podporządkował się jednak biskupowi i zagroził, że następnego dnia wedrze się z tłumem mnichów w miejsce ceremonii i porwie prefekta jeżeli igrzyska nie zostaną odwołane, zyskując jednocześnie spore poparcie w innych miejscowych klasztorach. Dostrzegając niebezpieczeństwo prefekt Leontios uciekł do Konstantynopola, a pomysł wskrzeszenia igrzysk przepadł. Nie dość na tym, biskup Eulalios zaczął szanować Hypatiosa jak ojca i wielokrotnie okazywał mu dowody swej czci. (KALLINIKOS, *Vita Hypatii* 33)

To tylko jeden z wielu przykładów na to, że mnisi nie tylko nie podporządkowywali się władzy Kościoła, ale

że często owa władza była wręcz terroryzowana przez bezwzględny tłum mnichów. Najsłynniejszym bodaj przykładem jest tzw. Sobór Zbójecki, który odbył się w 449 roku w Efezie. W trakcie jego obrad 130 zebranych biskupów zostało zastraszonych przez mnichów z otoczenia syryjskiego świętego męża Bar-Saumy. Biskup Konstantynopola Flawian miał zostać nawet zmaltretowany przez mnichów, a Bar-Sauma wzywał do zabicia go. Być może na skutek tych wydarzeń Flawian zmarł w niedługim czasie w drodze na wygnanie (ACO).

Podobnie rzecz miała się kilkadziesiąt lat wcześniej w Konstantynopolu, gdzie mnisi wdarli się wraz z biedotą do kościoła, w którym w Noc Zmartwychwstania Pańskiego biskup miasta Grzegorz z Nazjanzu chrzcił wiernych, i obrzucili go kamieniami. (GRZEGORZ Z NAZJANZU, *Carmen de vita sua*, v. 665)

Nic więc dziwnego, że biskupi stolicy Cesarstwa Wschodniorzymskiego parokrotnie próbowali przywrócić porządek w środowisku monastycznym Konstantynopola. Jednak każda taka próba pociągała za sobą akty wrogości, a czasem wręcz nienawiści ze strony licznej i bardzo wpływowej grupy mnichów. Za czasu pontyfikatu Jana Chryzostoma, który próbował skończyć z włóczęgostwem mnichów i pragnął zamknąć ich w murach klasztorów, mnich Izaak stworzył tak silne stronnictwo mnisze w stolicy, że stał się jednym z głównych oskarżycieli tego biskupa w czasie synodu w Dębie (403 rok) i jednym z głównych autorów usunięcia Jana ze stolicy oraz zesłania go rok później do Kukosos w Armenii (SOZOMEN, *Historia Kościoła VIII*, 9; FOCJUSZ, Biblioteka, kod. 59).

Niecałe trzydzieści lat później podobną próbę uregulowania życia mnichów stołecznych podjął Nestoriusz. Sam, jako gorliwy mnich, nie mógł zdzierżyć przesiadywania mnichów po gospodach oraz tego, że żebrzą i śpią na ulicach. Mnisi zareagowali gwałtownymi atakami na biskupa, któremu zarzucali nadużycia i zapędy tyrańskie. Jeżeli wierzyć źródłom, zarówno wspominany na wstępie Hypatios, jak i następca Izaaka w jego klasztorze, Dalmatios, stali się śmiertelnymi wrogami Nestoriusza. Wystąpienie Dalmatiosa przeciw Nestoriuszowi w Konstantynopolu, w czasie trwania obrad soboru (soborów?) w Efezie w 431 roku, stało się zresztą jednym z głównym powodów utraty pozycji przez biskupa na dworze cesarskim, jeżeli wierzyć temu, co sam Nestoriusz napisał w swojej apologii; (NESTORIUSZ, *The Bazaar of Heracleides*, s. 272-278, a także *La seconde partie de l'Histoire de Barhadbesabba 'Arbaia*, s. 40-41).

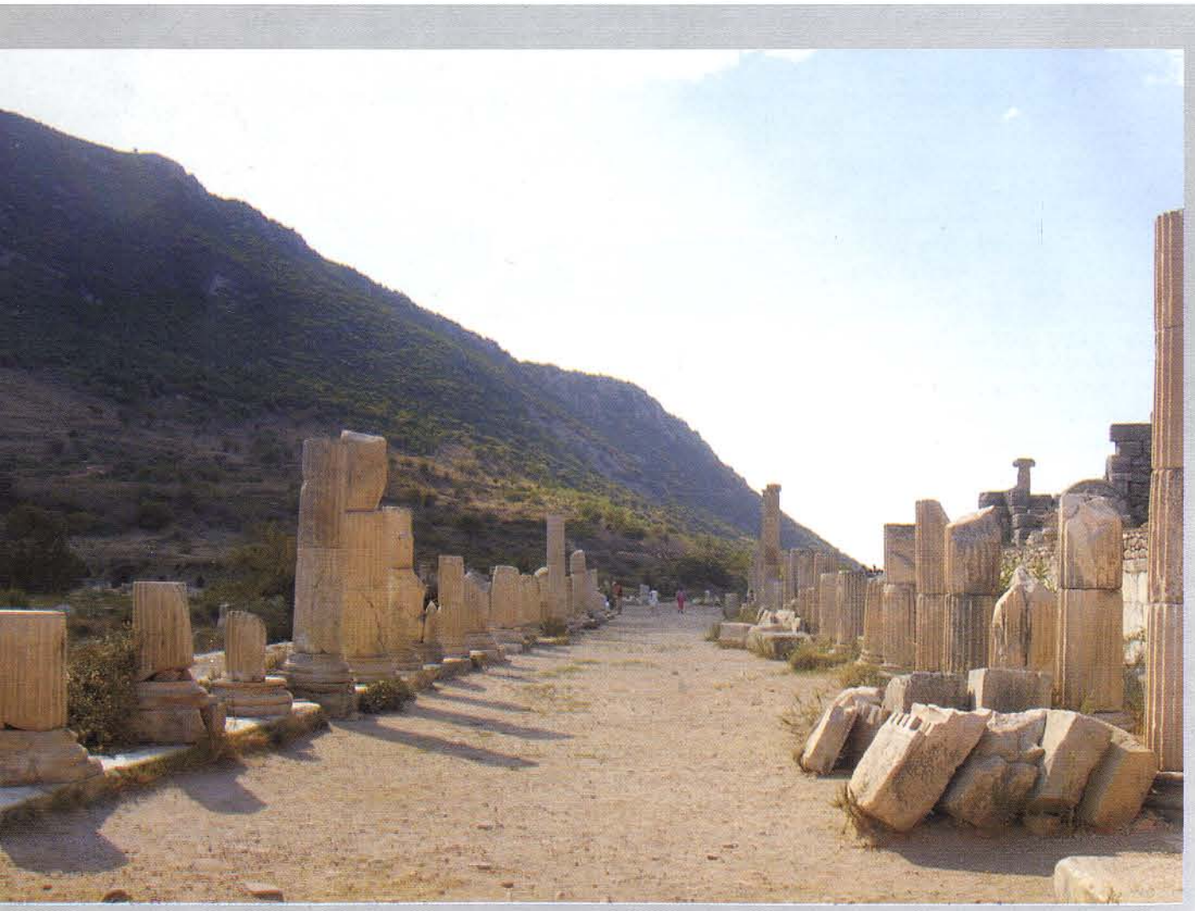

Ulica w Efezie

Oczywiście, niesforni mnisi nie stanowili jedynie źródła kłopotów dla hierarchii kościelnej. Często tłumy nieobliczalnych mnichów stanowiły szansę wpływania na losy Kościoła poza granicami własnej jurysdykcji. Nie bez przyczyny stronnictwo mnichów Konstantynopola w każdym z wyżej opisanych konfliktów znajdowało sojuszników w niechętnych stołecznym biskupom patriarchach Aleksandrii. Aleksandria nie chciała się pogodzić ze stale wzrastającą na mapie Kościoła późnoantycznego pozycją Konstantynopola, który systematycznie wyrastał na pierwszą we wschodniej części Cesarstwa Rzymskiego stolicę biskupią. I tak w sojuszu z mnichami Izaaka patriarcha Teofil doprowadził do upadku Jana Chryzostoma, Dalmatios pomógł z kolei patriarsze Cyrylowi odnieść triumf nad Nestoriuszem, który również został usunięty z Konstantynopola. W 449 roku herezjarcha Eutyches i jego mnisi uzyskali w swym konflikcie z konstantynopolitańskim biskupem Flawianem poparcie ze strony Dioskura, następcy Cyryla. Flawian został pozbawiony swego biskupstwa, a o jego późniejszym losie już wiemy. Patriarchowie aleksandryjscy, oczywiście, także popadali w spory z własnymi mnichami, o czym świadczy chociażby poważny konflikt między Teofilem a tzw. Długimi Braćmi (SOKRATES, *Historia Kościoła VI*, 7, 9).

Uzależnienie od niestabilnej i nieobliczalnej grupy gorliwych mnichów na dłuższą metę nie mogło nikomu odpowiadać. Już w trakcie konfliktu między Eutychesem a Flawianem, prócz tych mnichów, którzy opowiedzieli się za Eutychesem znalazła się także wpływowa grupa z igumenem akoimetów Marcelim na czele, która stanęła po stronie biskupa.

Doświadczenia z Soboru Zbójeckiego sprawiły, że sytuacja stała się dla Kościoła niezwykle paląca. Z tego też względu biskupi w czasie obrad Soboru w Chalcedonie w 451 roku przyjęli kilka kanonów mających na celu regulację statusu monastycyzmu. Ojcowie Soborowi zwrócili uwagę, że wielu mnichów wnosi zamieszanie do życia religijnego i politycznego wspólnot, podkreślono ich niestabilny tryb życia oraz postanowiono podporządkować ruch monastyczny władzy biskupów. Zakazano

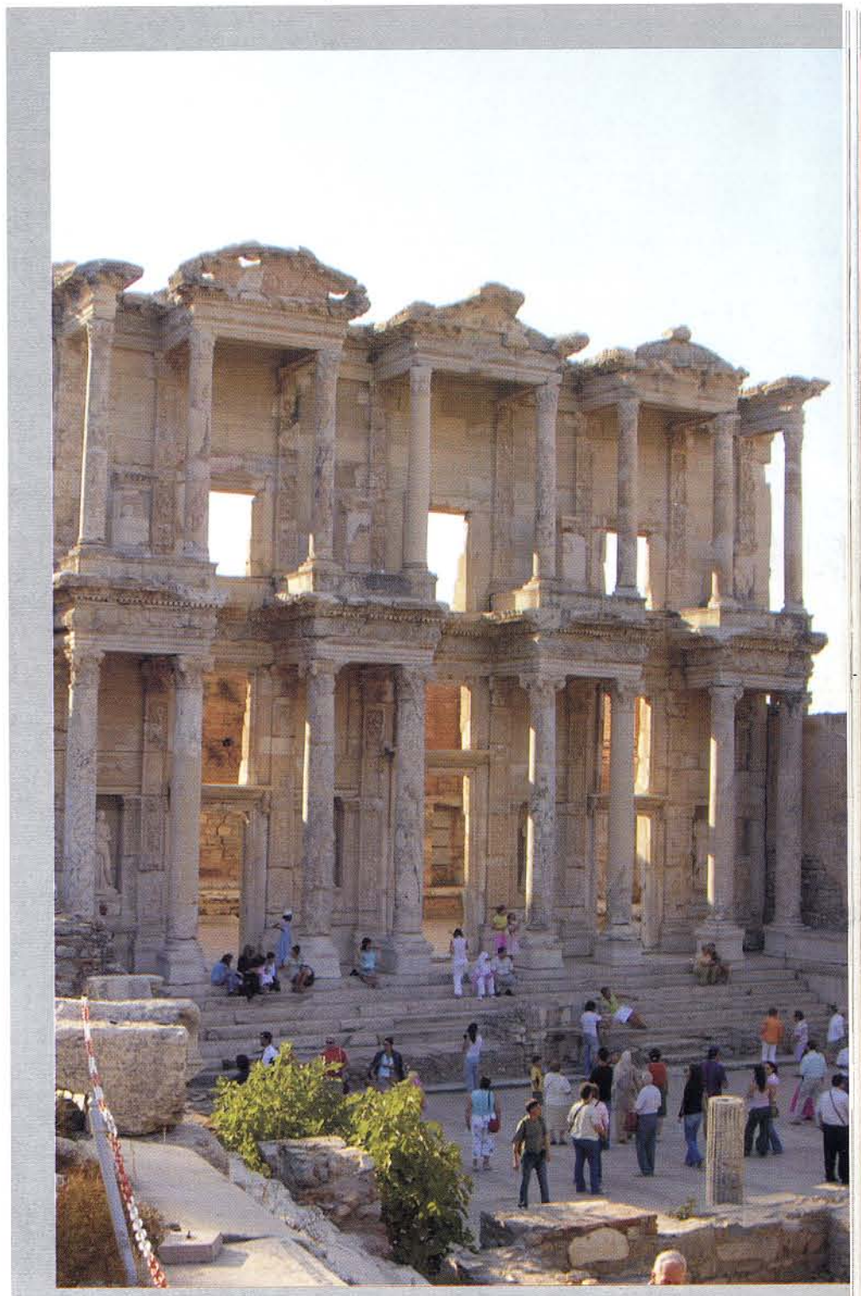

Biblioteka w Efezie

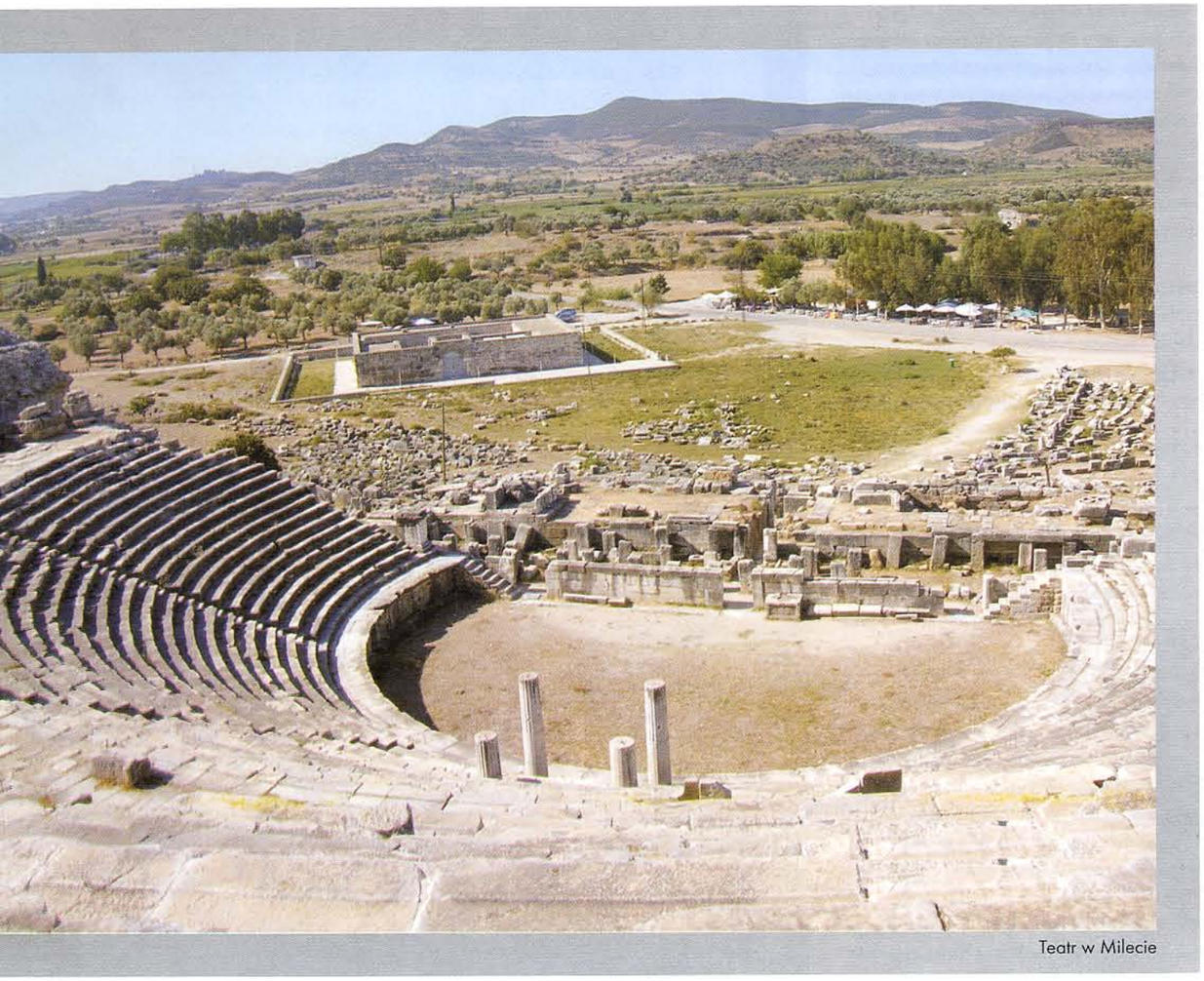

Teatr w Milecie

mnichom również wtrącania się w sprawy Kościoła czy sprawy doczesne, a także opuszczania klasztorów bez zgody biskupów. Monastycyzm, dotąd spontaniczny ruch wiernych, stał się odtąd (przynajmniej formalnie, gdyż wprowadzanie kanonów soborowych w życie nie było sprawą prostą, a tym bardziej automatyczną) instytucją Kościoła (Sobór w Chalcedonie, Kanon 4).

Mimo tych wysiłków mnisi nadal stanowili ważny czynnik w czasie sporów monofizyckich w ciągu następnych dziesięcioleci, nieraz decydując nie tylko o stanie Kościoła, ale nawet o losach państwa. Przykładowo w czasie uzurpacji Bazyliskosa w latach 475-6 napotkał on w swej pro-monofizyckiej polityce religijnej na gwałtowny opór ze strony patriarchy Akacjusza. Bazyliskos próbował przeciwstawić się niewygodnemu patriarsze, ale mnisi konstantynopolitańscy strzegli go uniemożliwiając przeprowadzenie jakiejkolwiek akcji ze strony uzurpatora wobec Akacjusza. *Żywot* Daniela Stylity mówi wprost o tym, że Daniel, stylita mieszkający na kolumnie w pobliżu stolicy, opowiadając się po stronie patriarchy miał zadecydować o tym, iż Bazyliskos zmienił swą politykę religijną i pojednał się z Akacjuszem (*Vita Danielis Stylitae,* 70-85).

Oczywiście, mnisi występowali również w gwałtowny sposób nie tylko w konfliktach wewnątrzkościelnych, jakkolwiek o nich przede wszystkim czytamy w źródłach. Przykładem może być tutaj sytuacja w Aleksandrii na początku pontyfikatu patriarchy Cyryla ok. 412 roku. Kilkusetosobowy tłum mnichów z pustyni Nitryjskiej przybył do miasta stając się zbrojną siłą Cyryla przeciwko prefektowi Orestesowi do tego stopnia, że zaatakowali prefekta, a jeden z nich, Ammonios kamieniem uderzył go w głowę, powodując krwawą ranę (SOKRATES, *Historia Kościoła VI,* 14). Inne źródło informuje nas z kolei, że wspominany wyżej biskup Konstantynopola Jan Chryzostom (sam będący ofiarą konfliktu z klasztorami stolicy) miał wysłać pewnych rozpalonych gorliwością

Ulica prowadząca do portu w Efezie

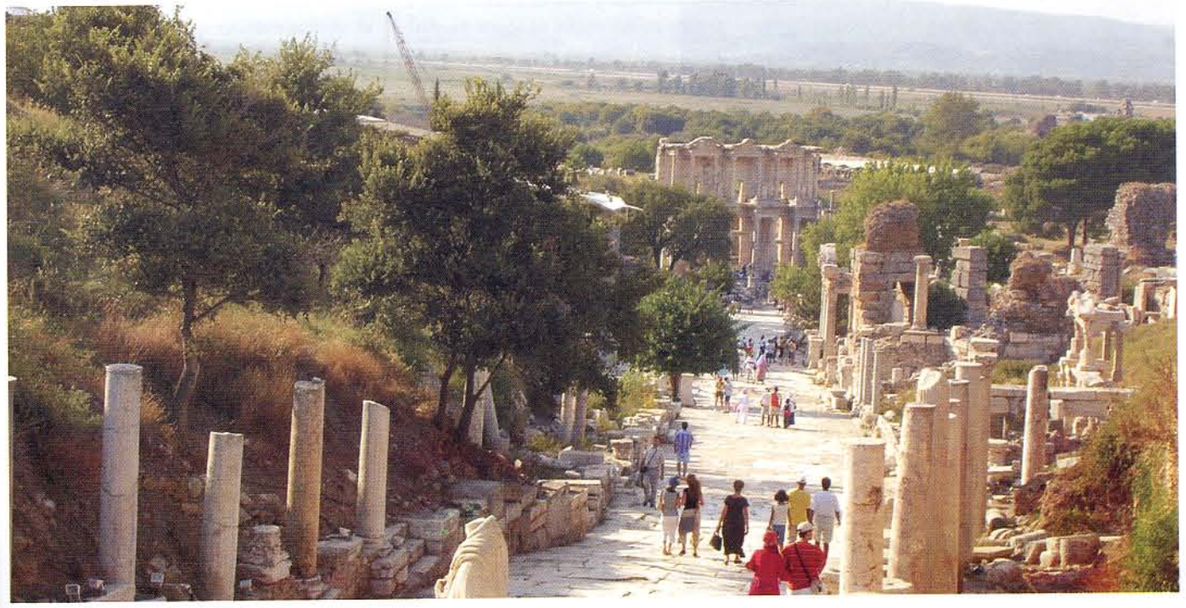

Ulica w Efezie - widok na Bibliotekę

mnichów, zaopatrzonych w edykty cesarskie, przeciwko pogańskim świątyniom w Fenicji (TEODORET, Historia Kościoła V, 29).

Jak więc widać mnisi, będący silną nonkonformistyczną zbiorowością, pełnili ważną, a nieraz decydującą rolę w czasie konfliktów zarówno wewnątrzkościelnych, jak i tych, które wykraczały poza społeczność Kościoła. W ręku zdecydowanych jednostek zamieniali się niejednokrotnie w potężną broń, która potrafiła usunąć niewygodnych przeciwników, zastraszyć zgromadzenia biskupów, a nawet władzę świecką. Trzeba jednak pamiętać, że wspomniane wyżej przykłady stanowią zawsze pewien margines dziejów monastycyzmu i nie mogą charakteryzować w żaden sposób całości tego nurtu.

„Pal go kat",

czyli tortuty w średniowiecznej Europie

HANNA ZAREMSKA

Kolczaste krzesło

Torturowanie więźniów uchodzi dziś, przynajmniej w naszej części globu, za praktykę sprzeczną z prawem. Dochodzenie prawdy poprzez zadawanie cierpienia cielesnego uznajemy za niehumanitarne, a zakaz stosowania tortur za jedną z ważnych zdobyczy cywilizacji.

Pogląd to dość świeżej daty. W Europie upowszechnił się bowiem w dobie Oświecenia. Wcześniej tortura stanowiła normalną część procedury sądowej we wszystkich krajach naszego kontynentu, poza Anglią. Do schyłku XVIII wieku torturę stosuje się w Europie powszechnie. Jej początki sięgają późnego Antyku. Tajne dochodzenie połączone z zadawaniem męczarni było wynalazkiem wczesnego Cesarstwa Rzymskiego. Zezwolono wtedy na wymuszanie zeznań nie tylko od niewolników, ale i od obywateli. Początki rzymskiej praktyki wymuszania konfesji torturami, podobnie jak jej odnowienie w średniowieczu i rozkwit w czasach nowożytnych, związane były z historią polityczną. Torturowanie służyło władzy do wykrywania przeciwników politycznych i tłumienia rebelii. Pięć stuleci dzielących pełne średniowiecze od upadku Rzymu było martwym okresem w dziejach tortur. Powróciły w XIII wieku. Jako pierwszy na powrót zalegalizował je cesarz Fryderyk Sycylijski w 1239 roku. Torturę upowszechniły walczące z herezją sądy kościelne, w XIV wieku stosowały ją już także trybunały świeckie. Magowie, trędowaci, Żydzi, wkrótce czarownice uznani zostali za wrogów państwa, a tortura za narzędzie walki z nieposłuszeństwem wobec władzy.

Tortura zajmowała ważne miejsce w działaniach kościelnej Inkwizycji. Powołana przez papieża w XIII wieku do walki z herezją katarów i waldensów instytucja ta zwalczać ich miała przy pomocy perswazji i zastraszenia. Z czasem inkwizytorzy działać zaczęli przeciw każdej, uderzającej tak we władzę papieską, jak i monarszą, rebelii. Szło o wymuszenie posłuszeństwa traktowanego jako najwyżej cenioną postawę polityczną.

W wydanym w 1494 roku w Walencji *Słowniku inkwizytorów* można było przeczytać: „Kościół ma pełne prawo torturować. Tortura służy odkryciu prawdy. Gdy jest wielu, co dopuścili się zbrodni herezji, torturować ich należy jednego po drugim, zaczynając od najmłodszego i tego, co wydaje się najbardziej lękliwy. Każdego można torturować: bez wyjątku (poza dziećmi poniżej 14 lat, których wolno jedynie bić rózgą). Żołnierz, lekarze, bogaci, wszyscy mogą być poddani torturze. Nie torturuje się jednak zgrzybiałych starców oraz kobiet w ciąży. Duchownego torturować należy lżej. Nie należy go chłostać rzemieniem z żelazną sprzączką, ani też batogiem, ale jedynie rózgą lub skórzanym paskiem".

Praktyka tortur zawsze związana była z zasadą dowodzenia winy, która uznaje wyższość przyznania się oskarżonego nad wszystkimi innymi potwierdzeniami zbrodni. Sędziowie rzymscy, tak jak ich średniowieczni następcy, dobrze wiedzieli, że torturami można zmusić człowieka do wyznania zbrodni, których nigdy nie popełnił. Ale wiedza ta nie umniejszała wagi, jaką miało dla nich przyznanie się podejrzanego do winy. Nie starczały dowody materialne czy zeznania świadków, jedynie wyznanie winy uchodziło za prawdę „absolutną". A takiej wymagano, gdy w grę wchodziły zbrodnie stanu, do których zaliczano nie tylko zbrojne działania przeciw panującemu, ale i konszachty z diabłem, uprawianie czarów, czy sprzyjanie herezji.

W Polsce tortury zaczęto stosować w XIV wieku. Upowszechniły się one w ślad za zwyczajami niemieckiego wymiaru sprawiedliwości w sądownictwie miejskim w XVI-tym stuleciu, wraz z przyjęciem zasady, że wyrok skazujący przestępcę powinien zapaść po tym, jak przyznał się on do winy. Toteż zanim przystępowano do przesłuchania, wzywano podejrzanego do złożenia zeznań pod groźbą zastosowania mąk, pokazywano mu narzędzia tortur, obnażano, sadzano na miejscu kaźni.

Kacper z Nowego Miasta pojmany został w 1595 roku na krakowskim Kazimierzu przez trzech mieszczan, którzy złapanego na kradzieży rzezimieszka doprowadzili do ratusza. Wstępne zeznania złodzieja, który wymienił ukradzione przedmioty i opisał okoliczności, w jakich pozbawił ich właścicieli, a także nazwiska wspólników, nie zadowoliły sędziów. Poddany „ciągnieniu" uzupełnił dotychczasowe zeznania o nowe szczegóły, przede wszystkim dorzucił nazwiska paserów. Ten rodzaj mąk polegał na rozciąganiu ciała powrozami w ten sposób, że ramiona przeciągano do tyłu aż do wyrwania stawów, czemu służyło koło lub liny rozpięte między pierścieniami umocowanymi w ścianach izby tortur. Zebrani w izbie tortur funkcjonariusze wymiaru sprawiedliwości nadal nie byli zadowoleni. Po zastosowanym trzykrotnie „ciągnieniu" zdecydowano, że należy poddać Kacpra jeszcze przypalaniu pod pachami rozpalonym żelazem. Ta część zapisanych w *Księdze Złoczyńców* zeznań Kacpra zaczyna się od słów: „gdy był palony srożej żarny", na marginesie pisarz odnotował: „obieszon".

W epoce tej, wobec podniesienia zeznań, czy raczej przyznania się do winy do rangi głównego dowodu popełnienia zbrodni, dochodzenie w całości przebiegało w izbie tortur. Katownia na ogół znajdowała się w podziemiach sądu bądź ratusza. Śladem zwyczaju wielokrotnego powtarzania męki przypalania są używane do dziś wyrażenia: „pal go sześć" czy „pal go kat". Tę torturę wraz z „ciągnieniem" stosowano najczęściej, ale praktykowano także inne rodzaje mąk.

W XVIII-wiecznym *Opisie obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III*, dziele autorstwa ks. Jędrzeja Kitowicza, znaleźć można szczegóły dotyczące tzw. „hiszpańskich butów". Były to „ostre żelaza, karby na kształt zębów, kształt piły mające, z dwóch sztab złożone, przez które przechodziły z obu końców śruby; tymi śrubami ściągano żelaza zębate na wierzch piszczeli nóg, które pod spodem przymocowane były. Te więc coraz bardziej gniotąc i kalecząc nogi, nieznośny ból sprawiały... Utrzymywano powszechnie, że nie było zbrodniarza, którego by obuwie to do przyznania winy nie przymusiło".

Śrubowanie kciuków uważano za lekką męczarnię. Używano w tym celu narzędzia w formie prasy, ściskano nim palce

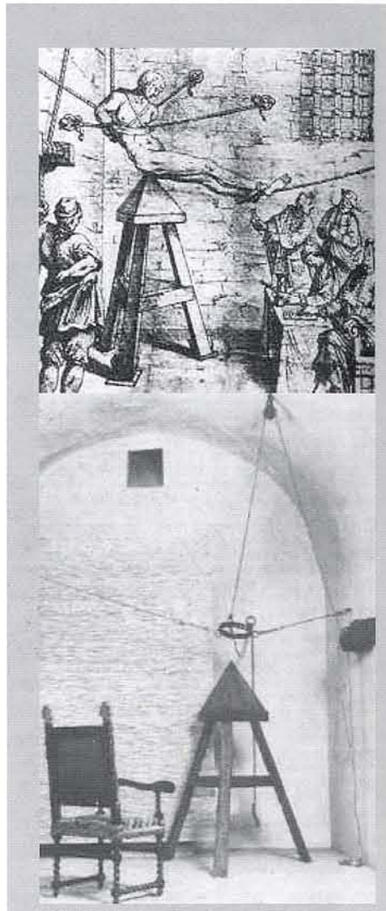

Kołyska Judasza

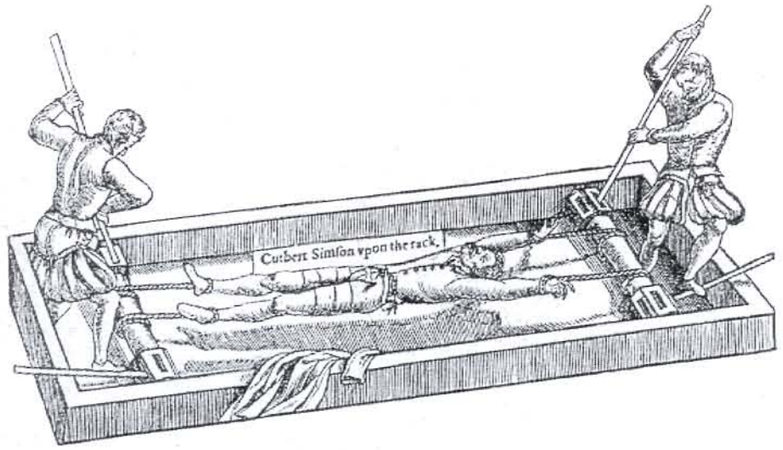

u rąk albo jednocześnie u rąk i nóg. Powierzchnia desek tworzących prasę nie była gładka i jej wystające guzy wciskały się w ciało złoczyńcy.

Zasadniczo tortury wolno było stosować w Polsce jedynie wobec ludzi niższych stanów. Duchownym i szlachcie pobyt w izbie mąk nie groził. Odchodzono jednak od tej reguły, gdy ich przestępstwa uznano za wyjątkowo groźne, czy też noszące charakter polityczny.

Łatwo się domyślić, że wielu z podejrzanych umierało w izbie tortur. Zdarzały się też przypadki samobójstw w więzieniu. Treść składanych zeznań zależała często od fizycznej i psychicznej odporności skazańca. I z tego sędziowie zdawali sobie sprawę. XVI-wieczny prawnik Bartłomiej Groicki zwracał uwagę na to, że członkowie band zbójeckich, którzy trafiają do „sklepu mąk", są lepiej przygotowani na oczekujące ich tam tortury. Jeszcze bowiem na wolności specjalnie w tym celu ćwiczą swoje ciała, by uczynić je odpornymi na ból. Zaś inny współczesny mu jurysta Cerasinus swe wątpliwości wykładał wprost: „mocny góral da się męczyć, a nie wyzna prawdy, a słaby piecuch opowie grzech, którego popełnić nie śmiał".

Cielesność tortury upodobniała ją do kary. Sąd, podejmując decyzje o zastosowaniu męczarni, stawiał podejrzanego w sytuacji skazańca, który zaczyna odbywać karę za swe przewinienia. Wspomniany już Cerasinus w swym traktacie *O prawie i fołdrowaniu* pisał: „Kat pierwej bierze obwinionego karać za suspicyą [to jest w związku z podejrzeniem], nim sędzia powie, że zgrzeszył".

Praktykę torturowania podsądnych trudno jest pojąć, jeśli nie zdamy sobie sprawy z tego, że cielesności zadawanych cierpień odpowiadało przekonanie, że ciała męczonych przestępców są siedliskiem zła, któremu przypisywano również fizyczny charakter, i kontaktu z którym się obawiano. Słyszymy o sędziach, którzy w izbie tortur siedzą tyłem do ofiary, by osłonić się przed jej wzrokiem. Nie brak też poświadczeń przestrzegania środków ostrożności, jakie winni zachować sędziowie i świadkowie, aby nie wejść w fizyczny kontakt z podsądnymi. Kat pracował w rękawiczkach.

Dochodzenie, jakie prowadził kat w izbie tortur, osłonięte było tajemnicą, egzekucja przeciwnie - była jawna i służyć miała przestrodze i pouczeniu widzów. Także i ona zmierzała na ogół do wymierzenia „sprawiedliwości" w drodze realizacji dokładnie przemyślanego scenariusza. Szło o zadanie bólu, ukaranie ciała.

Wyrok na Bartoszu z Lusiny, złodzieju, który ukradł królewskie pieczęcie, wykonano w Krakowie w 1559 roku. Obnażony do połowy zasiadł Bartosz na wozie w towarzystwie kata. Jego pomocnicy nieśli za wozem kociołek z rozpalonym łuczywem i długą cechę do piętnowania złoczyńców. Wieziono go naprzód od ratusza na róg ulicy Wiślnej i św. Anny. Tam rozpaloną żelazną cechą „opieczętowano go na czole". Następnie zawieziono go ku wylotowi, na rynek ulicy Grodzkiej, gdzie pieczętowano go na prawej piersi. Stąd wóz ze skazanym potoczył się ku ulicy Floriańskiej i tu wypalono mu pieczęć na lewej piersi. Wreszcie zawieziono go na ulicę Sławkowską, gdzie wypalono mu czwartą pieczęć „na płucach", to jest na plecach. Po takim „opieczętowaniu" złodzieja monarszych pieczęci zawiódł kat ulicą Sławkowską na Pędzichów, gdzie stała miejska szubienica, stąd już tylko „szedł na sąd Boży".

LITERATURA:

Bernard Gui, *Księga Inkwizycji. Podręcznik,* Wydawnictwo WAM, Kraków 2002.

Edward Peters, *Torture,* Basil Blackwell 1985.

Janusz Tazbir, *Okrucieństwo w nowożytnej Europie,* Polska Oficyna Wydawnicza „BGW" 1993.

Łamanie kołem (kara)

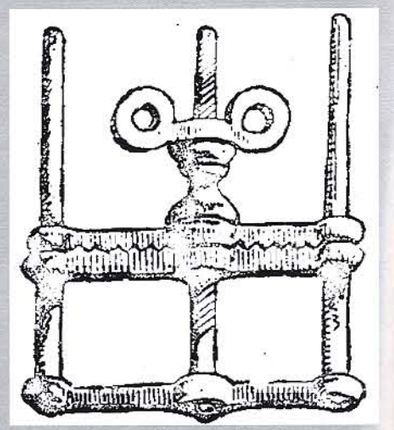

Przyrząd do miażdżenia kciuków

Królestwo Ridleya Scotta

PIOTR GUZOWSKI

Trudno nie cieszyć się z faktu, że powstają nowe superprodukcje filmowe, których akcja osadzona jest w czasach historycznych. Znakomicie zrealizowane przez hollywoodzkich twórców, dysponujących odpowiednimi środkami, pozwalają nam od czasu do czasu zobaczyć dawne epoki nie tylko oczami wyobraźni. A może oczami, nie tylko naszej wyobraźni. Po filmie Ridleya Scotta można się było wiele spodziewać. Bez wątpienia sukces *Gladiatora* zobowiązywał, a przynajmniej pobudzał apetyt widza. Historyka też. I wielce niesprawiedliwe byłoby uznanie tego filmu za porażkę. Niemniej jednak pozostawia on wielki niedosyt.

Jedna z amerykańskich recenzentek i znawczyni średniowiecza zarazem, podzieliła swoją wypowiedź na temat tego filmu na trzy części: co Ridley Scott zrobił dobrze, co zrobił źle i co zrobił bardzo źle. Jak przystało na krytyczny umysł historyka najbardziej rozwinęła dwa ostatnie wątki. Trudno jednak przy takim podejściu nie popaść w krytykanctwo. Chciałbym z czytelnikiem być szczery - film może się podobać: fantastycznym zdjęciom towarzyszy wspaniała muzyka. I widać średniowiecze, przedstawione niezwykle plastycznie. Czuć też atmosferę krucjat. Zarówno w porcie w Messynie, gdzie pielgrzymi oczekiwali na statki płynące do Ziemi Świętej, jak również w samym Królestwie Jerozolimy. Nie można się przyczepić do dbałości twórców filmu, jeśli chodzi o szczegóły scenografii, dekoracji czy kostiumów. Nawet elementy uzbrojenia wydają się być dobrane z pietyzmem, choć w scenie ostrzału Jerozolimy z katapult realne możliwości zarówno oblężonych jak i oblegających zostały złożone na ołtarzu widowiskowości. Mimo to trzeba przyznać, to piękne fragmenty filmu. Także aktorzy stanęli na wysokości zadania, włącznie ze wzbudzającym mnóstwo emocji Orlando Bloomem. I chyba nie znajdzie się nikt, na kim nie zrobiła wrażenia specyficzna, dodajmy przy tym, że znakomita, kreacja postaci trędowatego króla Baldwina IV.

O co więc można mieć pretensje?

Jako historyk mam przede wszystkim za złe twórcom filmów historycznych, że zwykle uważają to, co powstaje w głowie scenarzysty za ciekawsze i bardziej dramatyczne niż prawdziwa historia. Dzieje wypraw krzyżowych gwarantują przecież wszystko, czego potrzebuje scenariusz filmu dobrego tak pod względem artystycznym, jak i gwarantującego sukces finansowy. Skoro już zdecydowano się użyć istniejących realnie postaci i wydarzeń historycznych, o których w dodatku całkiem sporo wiemy ze znakomitych źródeł z epoki (chociażby z niezwykłej kroniki Wilhelma, kanclerza króla Baldwina IV i arcybiskupa Tyru), nie rozumiem dlaczego postanowiono „ozdobić" je jakimiś karykaturalnymi elementami.

Najbardziej jest to rażące w biografiach głównych bohaterów. Balian z Ibelinu rzeczywiście dzielnie i mądrze bronił Jerozolimy w 1187 roku. Jednak nie był kowalem, nieślubnym synem rycerza

Gotfryda, kochankiem królowej Sybilli, i nie powrócił po upadku Świętego Miasta do Europy. Jego ojcem był Balian (I) z Chartres, urodził się już w Ziemi Świętej, należąc do jednego z najważniejszych rodów w królestwie, odgrywał olbrzymią rolę w jego polityce. O jego pozycji świadczy fakt, że ożenił się z Marią Komneną, wdową po królu Amalryku I, królu Jerozolimy. Z kolei Gwidon z Lusignan będący w filmie, zgodnie z prawdą, królem Jerozolimy i mężem Sybilli, a potem władcą Cypru, nigdy nie był templariuszem! Podobnie zresztą jak Renald z Chatillon, skrócony o głowę przez Saladyna, w okolicznościach mniej więcej wiernie zaprezentowanych przez Ridleya Scotta. Natomiast królowa Sybilla, owszem, znajdowała się w Jerozolimie, oblężonej w 1187 roku przez Saladyna, ale nie opuściła później Ziemi Świętej, jak chcą twórcy filmu, ale zmarła w czasie epidemii w Akcce w 1190 roku. Tego typu nieścisłości historyczne można mnożyć. Ostatecznie mamy jednak do czynienia z filmem historycznym, choć fabularnym, a nie dokumentalnym.

Bardziej zadziwiające jest jednak kompletne niezrozumienie mentalności ludzi średniowiecza. Można zaryzykować twierdzenie, że dopóki się ten film ogląda, to robi on bardzo pozytywne wrażenie, ale gdy zacznie się go słuchać, czar pryska. Dostajemy dydaktyczną dawkę politycznej poprawności charakterystyczną dla przełomu XX i XXI wieku, a nie XII.

Ojciec filmowego Baliana przed śmiercią powiedział, że walczył w Ziemi Świętej o Królestwo Sumienia, czyli tytułowe Królestwo Niebieskie. Jego syn, przemawiając do mieszkańców Świętego Miasta, retorycznie

pytał: „Co jest święte w Jerozolimie: grób Chrystusa, ściana płaczu i meczety? Kto ma więc do niej prawo własności? Groby, ściany, meczety - nieważne, trzeba ratować ludzi". Słowa te, być może szlachetne w swojej wymowie, mają się nijak do realiów epoki. Ridley Scott nie zauważył, że nakręcił film, którego akcja toczy się w czasach krucjat, bez względu na to, czy termin ten wyjaśnimy jako zbrojną pielgrzymkę czy świętą wojnę.

Zadziwiająca jest też łatwość, z jaką twórcy filmu podzielili wyznawców obu religii na tych, „dobrych" i „złych".Oczywiście tych złych jest zdecydowanie więcej. Wedle definicji reżysera, opublikowanej na oficjalnej stronie internetowej superprodukcji, „Templariusze to ekstremalna frakcja, nie chcąca żadnych relacji z muzułmanami". Inni duchowni chrześcijańscy to fanatyczni przywódcy żądnego krwi motłochu, jak mnich zachęcający w porcie w Messynie do wzięcia udziału w pielgrzymce sloganem „Zabijanie niewiernych to nie morderstwo, to droga do nieba". Albo tchórzliwi, jak arcybiskup Jerozolimy, uciekający od swoich wiernych przed zbliżającą się armią Saladyna. W zasadzie po stronie chrześcijańskiej jedynymi pozytywnymi bohaterami są ludzie nie mający w warstwie mentalnej nic wspólnego ze średniowieczem: Gotfryd marzący o Królestwie Sumienia, Szpitalnik, który wierzył w Dobro, a niekoniecznie w Boga, i oczywiście Balian, jak się zdaje - agnostyk, który na początku filmu zabił księdza...

Po stronie muzułmańskiej jest zresztą niewiele lepiej. Saladyn, w wersji filmowej, w przeciwieństwie do podżegającego do wojny swojego otoczenia, jest tolerancyjny, szlachetny, żeby nie napisać rycerski. Zdając

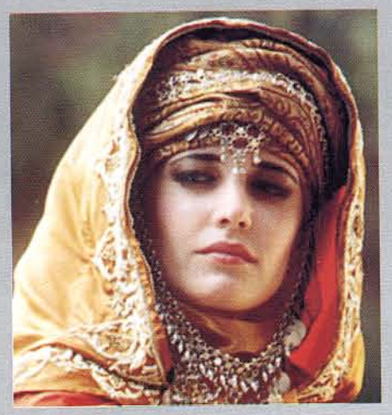

sobie sprawę z nietuzinkowości tej postaci, trudno nie pamiętać, że walczył on w imię dżihadu i tolerował jedynie tych, którzy mu okazywali szacunek i uznawali jego władzę. Jak pisał Steven Runciman, po zwycięskiej bitwie po Hittinem: „[...] wydał rozkazy, by żadnemu ze świeckich baronów nie uczyniono krzywdy i traktowano ich w czasie pobytu w niewoli z kurtuazją i szacunkiem. Nie okazał natomiast litości rycerzom zakonnym, oszczędzając tylko wielkiego mistrza Świątyni. Do wojska dołączyła gromada fanatycznych sufich. Powierzył im likwidację pojmanych templariuszy i szpitalników. Wykonali to z rozkoszą. Po rzezi tych rycerzy Saladyn z armią oddalił się do Hittinu. Ciała zabitych pozostały na pobojowisku dla szakali i hien".

Obok politycznej poprawności można w filmie dostrzec także elementy, nieco nam bliższej (geograficznie!), walki klas. Jak inaczej wytłumaczyć bowiem scenę, w której szlachetny Balian, szykując się do obrony Jerozolimy, pasował na rycerzy biedotę miejską. Może dbałością o dramatyzm? Ale w świetle źródeł sytuacja w mieście była wystarczająco dramatyczna, nasz bohater miał do dyspozycji bowiem tylko dwóch(!) rycerzy, stąd jego decyzja o pasowaniu na rycerzy wszystkich chłopców szlacheckiego pochodzenia i 30 mieszczan. Ale nie miejskiego plebsu!

Zrozumiałe jest, że twórcy filmu uprościli fabułę, nie musieli jednak korygować średniowiecznej rzeczywistości. Być może bardziej zależało im nie tyle na poprawieniu średniowiecza, co naszych czasów. Chciałbym wierzyć, że wybór okresu krucjat na tło opowieści filmowej wynikał nie tylko z chęci zaprezentowania sensacyjnej przygody w egzotycznych realiach, ale być może także z jakiejś fascynacji historią średniowiecza. Przyjmując średnią częstotliwość powstawania superprodukcji poświęconych tej epoce na 5-7 lat, trzeba przyjąć, że przez najbliższy czas *Królestwo Niebieskie* będzie podstawowym, masowym źródłem informacji o średniowieczu. Bez względu na jakość tych informacji, nie wątpię, że dzięki temu filmowi znajdzie się kilka osób, które zechcą przebrnąć przez trzy tomy *Dziejów wypraw krzyżowych* Stevena Runcimana, które gorąco polecam. Może w tym wypadku do współczesnej hollywoodzkiej superprodukcji należy podejść z równie współczesnym założeniem, że: „Nieważne, co mówią, ważne, że mówią". W tym wypadku o średniowieczu.

Ilustracje: 20th Century Fox.

Krucjata przemocy?

PIOTR GUZOWSKI

Papież Urban II na synodzie w Celrmont wzywa do krucjaty *(Bibloteque National du Paris)*

„Historycy zwykli uważać, że we wczesnych wiekach chrześcijaństwa Kościół był nastawiony pokojowo, jednak później zaczął przejmować wartości swych wojowniczych społeczeństw. Kulminacją tego procesu miałby być okres rozkwitu krucjat".

Marcus Bull

„Konieczny był obraz brutalności nadmiernej i bezmyślnej"

27 listopada 1095 r. na synodzie w Clermont papież Urban II ogłosił chrześcijańskiemu światu potrzebę wyzwolenia Ziemi Świętej z rąk niewiernych. Przekonywał słuchaczy wizją nieprzebranych bogactw, odwoływał się do solidarności z uciśnionymi chrześcijanami na Wschodzie i obiecywał pewne miejsce w Raju. Rozpostarł również przed zgromadzonymi duchownymi, rycerstwem i pospólstwem wizję przeciwnika, którego postępowanie miało wyzwolić święty gniew i oburzenie. Według jednej z relacji, autorstwa Roberta Mnicha, papież miał powiedzieć: „Z granic Jerozolimy i Konstantynopola doszły naszych uszu smutne opowieści, które często nas zaskakiwały. Ludy królestwa Persów, przeklętego narodu, narodu całkowicie obcego Bogu, rodu który nie zwrócił ku Niemu serca i nie zawierzył Panu swego ducha, najechały w tych krainach ziemie chrześcijan, zniszczyły ją ogniem, rabunkiem, pożogą; część pojmanych uprowadzili do swojego kraju, a część zgładzili w torturach; zniszczono również całkowicie kościoły Boże albo zamieniono zgodnie z obyczajem ich religii. Niszczą ołtarze profanując swoimi nieczystościami. Obrzezują chrześcijan, a ich krew rozlewają na ołtarze lub wlewają do chrzcielnic. Kiedy chcą torturować chrześcijan zadając im nikczemną śmierć, przekłuwają ich pępki, i wyciągają na zewnątrz koniec jelit, przywiązując do słupa; później chłostając prowadzą ofiarę zanim wnętrzności wytrysną na zewnątrz i ofiara nie upadnie na ziemię. Innych przekłuwają do słupa i przebijają strzałami. Innych zmuszają do wyciągnięcia szyi i później atakują ich mieczami, starając się uciąć głowę jednym cięciem. A cóż mam powiedzieć o odrażających gwałtach na kobietach? Mówienie o tym jest gorsze niż milczenie". Prawdopodobne jest, że Robert Mnich był jednym ze świadków papieskiego wystąpienia, jednak swoją relację spisał około 25 lat później. W związku z tym trudno wyrokować na ile mamy tu do czynienia z wykorzystaniem autentycznych wątków poruszonych przez Głowę Kościoła, a na ile z owocem wyobraźni autora. Można jednak przypuszczać, że słuchacz mowy Urbana II na synodzie w Clermont lub późniejszy czytelnik dzieła Historia Hierosolymitana, był pod wrażeniem domniemanego okrucieństwa Turków okupujących Ziemię Świętą. Nie było to okrucieństwo zwyczajne, bo takie, jak pisał znawca krucjat Marcus Bull: „[...] w społeczeństwie, w którym przemoc była endemiczna i sama w sobie niezauważalna", nie zrobiłoby na nikim wrażenia. Aby wywołać poczucie oburzenia, gniewu czy wręcz chęć zemsty należało przedstawić obraz przemocy wyrafinowanej, ekstremalnej. Należy przy tym pamiętać, że w taki sposób pisano nie tylko o muzułmanach. Okrutni byli wszyscy, choć niektórzy bardziej. Inny kronikarz krucjatowy, Guibert z Nogent w następujący sposób opisał zachowanie Tomasza z Merle, jednego z francuskich rycerzy uczestniczących w wyprawach do Palestyny: „Jego żądza krwi była w niedawnych czasach tak bezprzykładna, że ci którzy uważają siebie za naprawdę okrutnych, są o wiele łagodniejsi mordując zwierzęta, niż on, gdy zabijał ludzi. Codzienną praktyką jest udowadnianie ofiarom, że są winne zbrodni, a następnie dobijanie ich starannie mieczem. On jednak czynił inaczej. Zarzynał swe ofiary, zadając im przy tym nieopisane tortury. Kiedy zmuszał swych więźniów kimkolwiek oni byli do płacenia okupu, kazał ich wieszać za jądra czasem nawet czynił to własnoręcznie .Niekiedy ofiara była zbyt ciężka, wówczas ciało rozrywało się, a trzewia wydobywały na zewnątrz. Inni byli wieszani za kciuk lub intymne części ciała z kamieniem przywiązanym do ramion. Sam przechadzał się pod swoimi powieszonymi ofiarami, a kiedy nie zdołał im wydrzeć tego , co w rzeczywistości do nich nie należało, zwykł był tłuc ich ciała pałką tak długo, aż w końcu

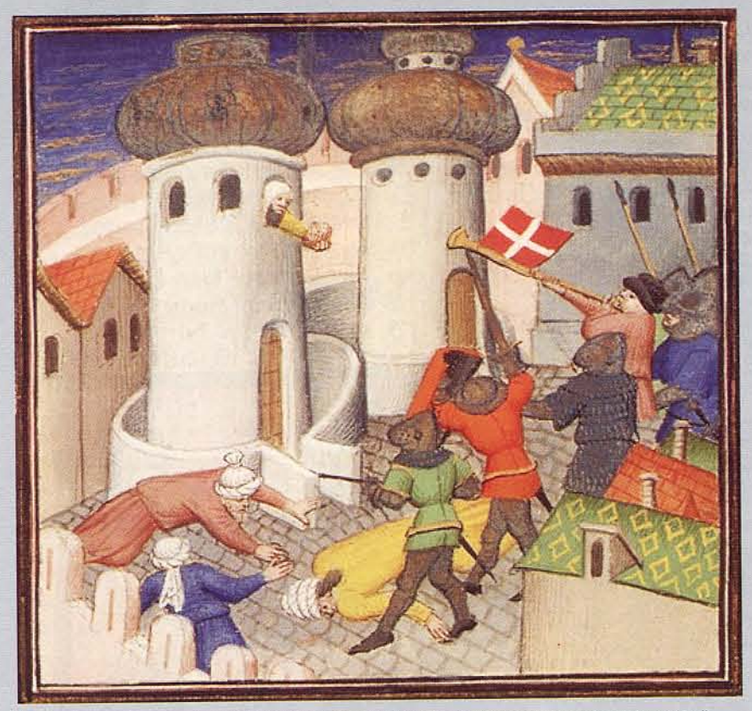

Zdobycie zamku przez Krzyżowców *(Koninklije Bibliotheek -Nationale Bibliotheek van Nederland)*

obiecywali mu to, czego pragnął, albo umierali w męce. Nikt nie wie, ile właściwie osób zakutych w łańcuchy zginęło w jego lochach z głodu, chorób i fizycznego wycieńczenia". Jak zauważył cytowany wyżej Marcus Bull: „Chcąc skutecznie oczernić Tomasza, Guibert nie mógł przedstawić go jako osobę tylko brutalną. Konieczny był obraz brutalności nadmiernej i bezmyślnej".

„Przemoc stosują całe państwa, grupy społeczne i pojedynczy ludzie"

Bardzo trudno jest zdefiniować przemoc. My najczęściej intuicyjnie ją rozpoznajemy i nazywamy. Wydaje się, że ludzie średniowiecza odczuwali podobnie. Ale jest wiele rodzajów przemocy i nawet współczesny człowiek, ze swoją tęsknotą do klasyfikowania i wartościowania, nieraz staje bezradny przed dylematem jak powinien na nią reagować, jak oceniać. A nasza perspektywa jest inna od średniowiecznej i problemem zrozumienia zachowania i mentalności ówczesnych ludzi. W każdej dziedzinie, także w podejściu do przemocy. I choć ówczesne społeczeństwo nie było jednolite i składało się, jak uważano, zarówno z tych, którzy pracują jak i tych, którzy się modlą, to i tak największy wpływ na życie wszystkich warstw mieli ci, którzy walczyli. Zanim stali się rycerzami z mocno umocowanym społecznie etosem, stanowili jak pisał Jean Flori „stan, który bardziej uciska niż broni". Dwunastowieczny poeta Bertrand de Born tak zobrazował tęsknoty wczesnośredniowiecznego wojownika: „Kocham radosną Wielkanoc, która liście i kwiaty z pąków wyprowadza; kocham pieśni radosne ptaków, echem niosące się przez gaje. Ale z równą miłością patrzę na rozbite na łąkach namioty; i radość mi wielką niesie obraz rozstawionych na polu rycerzy i koni czekających w szyku bojowym; i rozkoszą napełnia mnie widok zwiadowców, którzy czeladź rozpędzają i stada gonią na drogę; i uwielbiam patrzeć, jak ciągnie za nimi ciżba zbrojna; a serce przepełnia radość, gdy widzę, jak oblegane są warownie niezdobyte; i ostrokoły przełamywane są i niszczone, a wojowników na brzegu, otoczonych fosą, kryje palisada... Maczugi, miecze, hełmy różnobarwne, tarcze, które wróg rozłupie i pokruszy, jak tylko rozpocznie się walka; i wielu wasali razem powalonych; i rumaki zabitych i rannych, błąkające się bez celu. A kiedy rozpocznie się bitwa, niechaj wszyscy mężowie szlachetnej krwi myślą jeno o czaszek rozłupywaniu i odrąbywaniu ramion. Bowiem lepiej zginąć niż pokonanym przeżyć. Zaprawdę, ani jadło, ani wino, ani sen nie dają mi takiej rozkoszy, jak owe chwile, kiedy słyszę z obu stron okrzyki „Do boju", i rżenie rumaków słyszę, które potraciły jeźdźców, i okrzyki „Na pomoc"; gdy widzę mężów wielkich i maluczkich, padających na trawę za fosą; gdy wreszcie widzę zabitych, w których ciałach tkwią jeszcze połamane kopie z proporcami".

Przy całkowitym zmilitaryzowaniu społeczeństwa władzę, bogactwo, ziemię i prestiż posiadał ten, kto miał przewagę militarną. Jak również ten, kto był bardziej bezwzględny. W związku z tym „[...]Przemoc stosują całe państwa, grupy społeczne i pojedynczy ludzie" (Jerzy Rajman). Stosują na każdą skalę. Czasami masową.

Dla elity Franków wojna była życiowym spełnieniem i „narodową instytucją", do tego stopnia, że w czasie panowania Karola Wielkiego, oficjalne roczniki królewskie dwa razy zanotowały jako ważne wydarzenie informację, że Frankowie nie poszli na wojnę. Ale kiedy już poszli to wobec przeciwnika - zwłaszcza tak upartego i wytrwałego w walce jak Sasi - nie znali litości. Rocznikarz pod datą 782 zapisał: „Karol pociągnął z Frankami, których zebrał w pośpiechu, i dotarł do ujścia Allegru do Wezery. Tam też zgromadzili się wszyscy Sasi i poddali się władzy frankijskiego władcy. Wydali przestępców uczestników powstania w liczbie czterdziestu pięciu tysięcy. Zostali on ścięci z wyjątkiem Widukinda, który uciekł do Danii". Trzy lata później Karol Wielki próbował uporządkować stosunki społeczne w najdłużej podbijanej i nie w pełni schrystianizowanej, saskiej, części swojego państwa. Posłużyło temu spisanie kapitularza De partibus Saxoniae, nie bez powodu

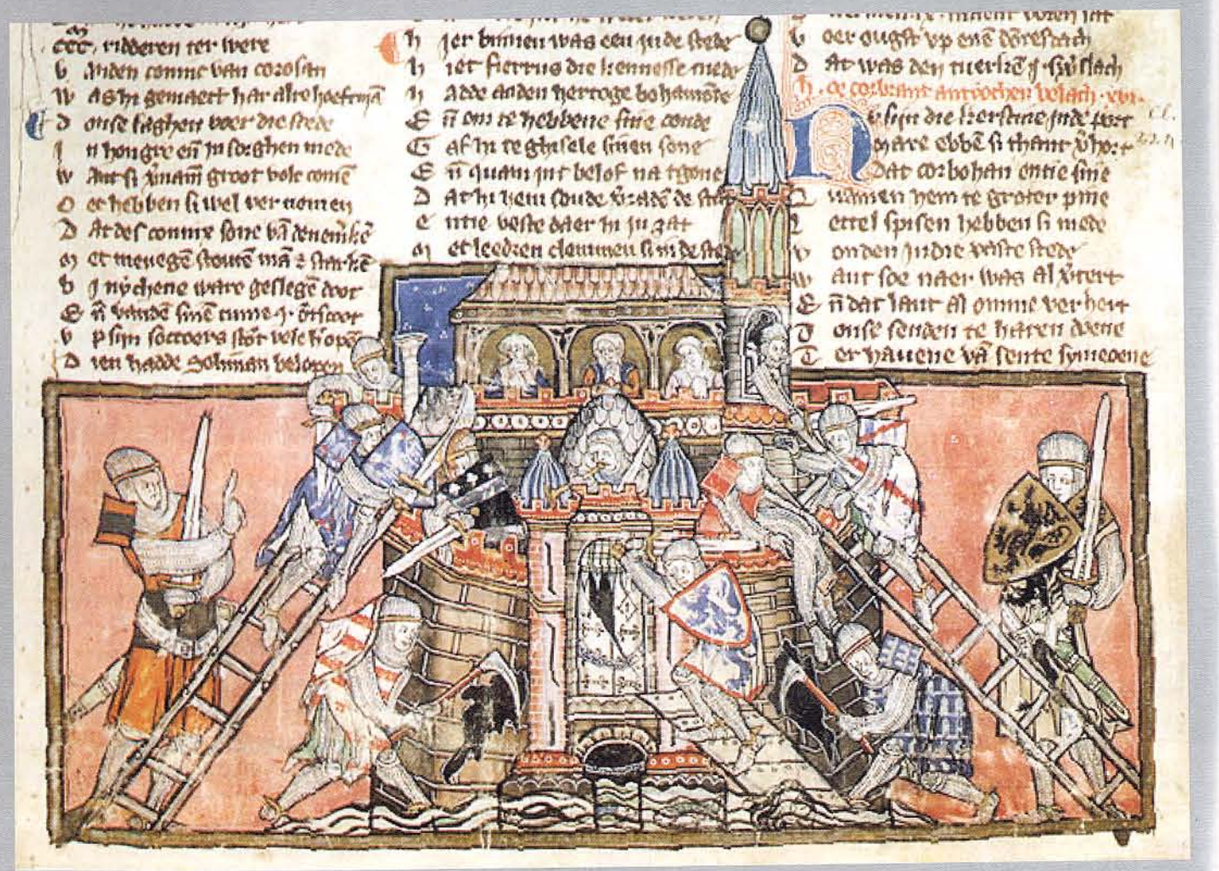

Zdobycie Antiochii przez krzyżowców *(Koninklije Bibliotheek -Nationale Bibliotheek van Nederland)*

określanego „terrorystycznym": „Ktokolwiek wtargnie do kościoła i przez przemoc lub kradzież zabierze jakikolwiek przedmiot lub podpali budynek, zostanie skazany na śmierć. Ktokolwiek wiedziony pogardą wobec chrześcijaństwa odmówi przestrzegania świętego postu w Wielkim Poście i spożyje mięso, zostanie skazany na śmierć. Ktokolwiek pozbawi życia biskupa, księdza lub diakona, zostanie skazany na śmierć. Ktokolwiek wyda na pastwę płomieni ciało zmarłego według pogańskiego zwyczaju i spopieli jego kości, zostanie skazany na śmierć. Każdy nie ochrzczony Sas, który będzie usiłował ukrywać się wśród współplemieńców i odmówi przyjęcia chrztu, zostanie skazany na śmierć. Ktokolwiek nie dotrzyma wierności należnej królowi, zostanie skazany na śmierć".

Przemoc w imię racji stanu można było skanalizować i wykorzystać w celu zwalczenia wrogów zewnętrznych lub wewnętrznych, prawdziwych lub ostatecznie wyimaginowanych. Często ich jednak brakowało, a władza centralna była zbyt słaba by zapewnić porządek na całym obszarze mniej lub bardziej rozległych państw. Zwracając się do zgromadzonych w Clermont, także świeckich możnych, papież Urban II powiedział (według relacji Fulchera z Chartres): „Obserwujecie od długiego czasu wielki nieporządek na świecie z powodu tych zbrodni. Jest tak źle w niektórych z waszych prowincji, powiedziano mi, i wy jesteście tak słabi w zarządzaniu sprawiedliwością, że mało kto może przejechać drogą w ciągu dnia czy nocy nie będąc zaatakowanym przez rabusiów; i gdziekolwiek jest w domu czy za granicą grozi mu niebezpieczeństwo ograbienia i oszustwa". Anarchia była dla ówczesnych ludzi najbardziej przerażająca. Szczególnie groźne były okresy bezkrólewia. Autorzy Kroniki Anglosaskiej trafnie scharakteryzowali zachowanie baronów w okresie walk o władzę po śmierci króla Henryka I w 1135 roku. „Wszyscy byli krzywoprzesiężcami a ich przyrzeczenia złamane. Każdy pan zbudował sobie zamek, który trzymał przeciw królowi; i cały kraj wypełnił się tymi zamkami. Obciążyli boleśnie nieszczęśliwych wieśniaków przymusową pracą w zamkach; a kiedy je zbudowali, wypełnili je diabłami i nikczemnymi ludźmi. Nocą i dniem wyłapywali tych, którzy jak przypuszczali, posiadali jakieś bogactwo, bez względu na to czy mężczyzn czy kobiety, gotowi dla zdobycia złota czy srebra, więzić ich i męczyć niewypowiedzianymi torturami, jakie nie spotykały nigdy nawet męczenników. Wieszali ich za stopy i przypalali ich żywym ogniem. Wieszali ich za kciuki albo za głowę i przyczepiali do stóp kolczugi. Obwiązywali głowę sznurem z supłami i ściskali aż sięgną mózgu. Zamykali ludzi w donżonach ze żmijami, wężami i ropuchami i w ten sposób ich zabijali. Niektórzy umieszczali ludzi w, jak to się mówi, „crusethus"; to jest krótkiej, wąskiej i płytkiej skrzyni, do której wkładano ostre kamienie; i zgniatali w tych skrzyniach ludzi, aż każda kość w ciele nie została złamana. W wielu zamkach były narzędzia tortur tak ciężkie, ze dwóch lub trzech ludzi nie wystarczało do podniesienia ich. Były zrobione w ten sposób: obciążnik był przymocowany do belki, która była przyczepiona do ostrego żelaza umieszczonego wokół gardła i szyi, tak, że człowiek nie był w stanie się ruszyć w żadnym kierunku, nie mógł także siedzieć ani leżeć, ani spać tylko dźwigał ciężar żelastwa. Wiele tysięcy zagłodzono w ten sposób na śmierć. Nie wiem jak, albo nie potrafię opowiedzieć, o wszystkich okrucieństwach ani zbrodniach, którymi dotknęli mieszkańców tego kraju".

„Moralnej wartości czynu nie można ocenić badając jedynie czyn, w oderwaniu od kontekstu"

Z szaleństwa przemocy zdawał sobie sprawę Kościół. W ciągu XI w. duchowni rozwinęli ideę Pokoju Bożego, oznaczającego nietykalność dóbr kościelnych i chłopskich, a z czasem również mieszczańskich, oraz koncepcję Treuga Dei, czyli Rozejmu Bożego, którego celem był zakaz prowadzenia działań zbrojnych w pewne dni tygodnia i roku. Pod koniec XI w. w niektórych regionach Europy Zachodniej Treuga Dei obowiązywał 230 dni w roku (od środy wieczór do poniedziałku rano, w Adwencie, Wielkim Poście, na Boże Narodzenie i Wielkanoc). Teoretycznie. Zauważył to już Urban II apelując do biskupów w Clermont: „Napominam was i żądam od każdego z was, starajcie się mocno utrzymać rozejm w waszych diecezjach. I jeśli ktokolwiek, prowadzony przez chciwość i wyniosłość, złamie ten rozejm, z woli Boga i sankcji tego synodu powinien być wyklęty". Mówiąc to nie miał jednak chyba wielkich złudzeń co do skuteczności swojej prośby. Dlatego posunął się dalej i zaproponował coś więcej: „Powinniście dążyć do tego, aby siłę waszej gorliwości obrócić na jaką bądź inną bożą i waszą sprawę. Wszak jest koniecznością, abyście niezwłocznie podążyli z pomocą waszym braciom zamieszkującym na Wschodzie i potrzebującym waszej, niejednokrotnie obiecywanej im pomocy [...] Niech się obecnie staną rycerzami ci, którzy przedtem byli rozbójnikami. Niech obecnie prowadzą sprawiedliwą walkę z barbarzyńcami ci, którzy poprzednio walczyli przeciw braciom i współrodakom. Niech otrzymają teraz wieczną nagrodę ci, którzy dawniej za małą zapłatę byli najemnikami". A więc Pokój i Rozejm Boży i krucjata, to jak pisał Georges Minois, sprawy podwójnie komplementarne: jeśli jest przestrzegany pokój, agresywna energia rycerzy musi mieć jakieś ujście na zewnątrz; jeśli pokoju nie udaje się zachować, krucjata jest najlepszym sposobem, żeby go zaprowadzić, kierując agresję przeciw niewiernym.

Trudno dziś jednoznacznie odpowiedzieć kogo papież wezwał na krucjatę. Według Fulchera z Chartres - wszystkich „do jakiego by kto nie należał stanu, zarówno pieszych, jak i konnych, tak biednych, jak i bogatych". Zdaniem zaś Roberta Mnicha miał powiedzieć: „I nie rozkazujemy, ani zachęcamy by starzy bądź i słabi, czy niezdolni do noszenia broni, podjęli podróż; a kobiety nie powinny wybierać się bez ich mężów, braci czy opiekunów. Ponieważ są bardziej przeszkodą niż pomocą, bardziej ciężarem niż pożytkiem. Niech bogaci pomogą potrzebującym; i w

Śmierć Żydów z rąk chrześcijańskich *(Bibliotheque nationalle de France)*

Zdobycie Jerozolimy przez krzyżowców *(Koninklije Bibliotheek -Nationale Bibliotheek van Nederland)*

miarę swoich możliwości niech wezmą ze sobą doświadczonych żołnierzy".

Tak czy inaczej, wezwanie papieskie spotkało się z ogromnym odzewem, zdecydowanie przerastając oczekiwania Głowy Kościoła, jak również cesarza bizantyjskiego Aleksego Komnena, który liczył na pomoc w walce z Turkami. Srogo się jednak pomylili hierarchowie kościelni, spodziewając się zakończenia fali przemocy lub spożytkowania jej w szczytnym celu. Zanim wyzwolono Ziemię Świętą, Europa doświadczyła skutków ubocznych masowej gorączki krucjatowej, ogarniającej wszystkie grupy społeczeństwa przyzwyczajonego do życia w przemocy.

Na przykład hrabia Emich z Leisingen, mający opinię wyjątkowego okrutnika i gwałciciela prawa, ale też i doświadczonego wojownika, zinterpretował na swój sposób papieskie wezwanie do krucjaty i głosząc, że nosi na ciele wypalony cudowną mocą znak krzyża, urządził krwawy rajd po nadreńskich gminach żydowskich. Zarówno on, jak i jego grupa, oraz lokalny motłoch, zupełnie nie zważali na napomnienia władz świeckich i duchownych. Prześladowani Żydzi z bogatych miast znajdowali lub kupowali schronienie u miejscowych biskupów, jednak rzadko okazywało się ono skuteczne. Jeszcze w Spirze udało się uniknąć masowego rozlewu krwi, ale w kolejnych miastach dochodziło do rzezi nawet w siedzibach przedstawicieli Kościoła. Albert z Aix, szczerze zaszokowany, opisał okrucieństwo niedoszłych krzyżowców w pałacu arcybiskupa Moguncji: „Emich i jego banda odbyli naradę i po wschodzie słońca, zaatakowali Żydów w hallu strzałami i włóczniami. Wyłamawszy rygle i drzwi, zabili Żydów w liczbie 700, którzy bronili się na próżno przed siłą i atakiem wielu tysięcy. Zabijali także kobiety i mieczami przekłuwali delikatne dzieci każdego wieku i płci. Żydzi widząc, że ich chrześcijańscy wrogowie atakowali ich i ich dzieci bez względu na wiek sami rzucili się jeden na drugiego: na brata, dzieci, żony, i siostry, i tak oto zginęli z własnych rąk nawzajem. To trudne do wypowiedzenia, ale matki podrzynały gardła swoich niemowląt nożami i zakłuwały innych, woląc zabić własnoręcznie, niż pozwalając być zabitym bronią nie obrzezanych". W oczach kronikarza żydowskiego Salomona bar Samsona ofiary rzezi w Moguncji zyskały chwałę męczenników, choć jednocześnie wierzył on, że poniosły karę za grzechy narodu wybranego.

Trudności ze zrozumieniem zachodzących wydarzeń mieli również ówcześni historycy chrześcijańscy. Nie było bowiem łatwo zinterpretować to jako Bożą wolę. Choć zgromadzeni na synodzie w Clermont rycerze, po papieskim przemówieniu, mieli jednogłośnie zakrzyknąć „Bóg tak chce", to czytając relację anonimowego uczestnika pierwszej wyprawy krzyżowej można mieć wątpliwości, czy Najwyższy akurat tego wymagał od swoich wiernych, zwłaszcza w kwestii ich stosunku do „niewiernych". Standardowe, jak pisał kronikarz, było następujące zachowanie: „Wzięli w niewolę wszystkich osiedleńców tamtejszych, a tych, którzy nie chcieli przyjąć wiary Chrystusowej, zabijali, którzy zaś godzili się być chrześcijanami, zachowali przy życiu". Choć trzeba pamiętać, że w trakcie wojny standardy nie należą do najwyższych i nieraz zdarzało się, że poszczególni przywódcy armii chrześcijańskiej zachowywali się jak hrabia Rajmund z Tuluzy: „Ruszył w ziemie Saracenów i przybył pod miasta Albara. Zaatakował je swoim wojskiem a następnie zdobył zabijając wszystkich Saracenów i Saracenki dorosłych i dzieci, jakich tam naszedł". Powszechną praktyką było zakończenie skutecznego oblężenia miasta grabieżą i rzezią: „I tak nasi dostali się do miasta, a co który naszedł z dóbr w domach i w oficynach, to zabrał na własność. Gdy nastał dzień, gdziekolwiek znaleźli wroga, mężczyznę czy kobietę, mordowali ich. Nie było zaułka w mieście, gdzie nie leżałby trup saraceński, i z trudnością szło się ulicami miasta tak, by nie napotkać zwłok". Paradoksalnie krucjata stała się swoistą drogą krzyżową zarówno dla jej uczestników, ich przeciwników, jak i mieszkańców podbijanych terytoriów. Wszechobecna przemoc prowadziła do jej sakralizacji. Uczestnicy wyprawy zdawali się jednak tego nie zauważać. O zdobyciu Jerozolimy Anonim napisał m.in.: „Gdy tylko nasi weszli do miasta, pielgrzymi ścigali i mordowali Saracenów, aż do świątyni Salomona, gdzie przez cały dzień trwała ze strony naszych najkrwawsza walka, aż cała świątynia spłynęła krwią. Wreszcie, zmógłszy pogan, pojęli nasi w niewolę wielką liczbę mężczyzn i kobiet, bądź ich zabijając, bądź darowując im życie jak kto chciał [...] Potem radośni i płacząc ze szczęścia poszli nasi, by uczcić grób Zbawiciela i spełnić swe śluby i modlitwy". Zmieszanie sacrum i profanum widoczne było też w zachowaniu wobec jeńców, którzy się poddali w świątyni Salomona i którym pierwotnie dano gwarancje bezpieczeństwa. Jednak: „[...] Następnego ranka weszli nasi na dach świątyni, zaatakowali Saracenów, mężczyzn i kobiety, zabijając ich mieczami. Niektórzy z pogan rzucali się w dół z dachu świątyni. Co widząc Tankred [jeden z dowódców krucjaty P.G] był niemało zbrzydzony". Opisujący wydarzenia naoczny świadek, w przeciwieństwie do kronikarzy, znających wyprawy z opowieści, wydaje się być zupełnie nieczuły na skalę brutalności. Po prostu zarejestrował fakty, pomijając jakikolwiek komentarz. Być może, akceptując postępowanie pielgrzymów i uznając, że cel uświęca środki w instynktowny sposób ocenił przebieg krucjaty. Z drugiej strony mógł się zupełnie nad tym nie zastanawiać, bo pewne zachowania były dla niego oczywiste.

Starając się ocenić ówczesnych ludzi trzeba poznać i zrozumieć ich perspektywę. Może też warto zastanowić się nad rozpowszechnioną w średniowieczu koncepcją, wywodzącą się od św. Augustyna, mówiącą, jak napisał Marcus Bull: „[...] że moralnej wartości czynu nie można ocenić badając jedynie czyn, w oderwaniu od kontekstu: przemoc była uprawomocniona w mniejszym lub większym stopniu stanem umysłu tych, którzy byli za nią odpowiedzialni, celami do osiągnięcia oraz kompetencjami jednostki lub organu, który zezwalał na ten czyn". Rozumowanie takie zapewniało dużą elastyczność, ale pozwalało też każdorazowo, indywidualnie rozstrzygnąć moralne dylematy. Być może my rozstrzygnęlibyśmy je dziś inaczej, a może zupełnie byśmy ich nie mieli. W tym kontekście trudno mówić, że krucjaty oznaczały jakieś apogeum przemocy, bowiem przemoc w okresie dojrzałego średniowiecza mogła mieć nieco inny charakter niż dzisiaj.

Wybrana literatura w języku polskim:

Anonima dzieje pierwszej krucjaty, wyd. i tłum. K. Estreicher, Warszawa-Kraków 1984.

R. A. Brown, *Historia Normanów*, przeł. J. Jarniewicz, Warszawa-Gdańsk 2003.

M. Bull, *Początki*, [w:] *Historia krucjat*, red. J. Riley-Smith, przeł. K. Pachniak, Warszawa 2000, s. 18-42.

P. Contamine, *Wojna w średniowieczu*, przeł. M. Czajka, Gdańsk-Warszawa 2004.

J. Flori, *Rycerstwo w średniowiecznej Francji*, przeł. A. Kuryś, Warszawa 1999.

G. Minois, *Kościół i wojna. Od czasów najdawniejszych do ery atomowej*, przeł. A. Szymanowski, Warszawa 1998.

J. Rajman, *Średniowieczne pogranicze. Przemoc, rywalizacja i zalążki sąsiedztwa*, [w:] *Dramat przemocy w historycznej perspektywie*, red. J. Chrobaczyński i W. Wrzesiński, Kraków 2004, s. 58-76.

S. Runciman, *Dzieje wypraw krzyżowych*, przeł. J. Schwakopf, t. 1-3, Warszawa1987.

Czy w przeszłości stosowano mobbing?

Przemoc psychiczna a polityka wyznaniowa Zygmunta III Wazy i jego następców

MARZENA LIEDKE

W ostatnich latach coraz więcej mówi się i pisze o zjawisku mobbingu, jako swoistej formie przemocy. Termin ten funkcjonuje od lat osiemdziesiątych XX w., kiedy to, aby opisać sytuacje zaobserwowane w relacjach zbiorowych, w pracy czy w szkole, Heinz Leymann wykorzystał nazwę zjawiska funkcjonującego w środowisku zwierząt, a zwłaszcza ptaków. Definicja tego pojęcia wypracowana przez Międzynarodową Organizację Pracy mówi natomiast m. in., że:
„jest to obraźliwe zachowanie poprzez mściwe, okrutne, złośliwe lub upokarzające usiłowanie zaszkodzenia jednostce lub grupie pracowników (...), którzy stają się przedmiotem psychicznego dręczenia. Innymi słowy to proces przemocy i nękania psychicznego pracownika, trwający nie krócej, niż 6 miesięcy, stosowany systematycznie przynajmniej raz w tygodniu, godzący w godność i osobowość człowieka, naruszający integralność psychiczną i fizyczną. Działania mobbingowe wywołują lęk związany z utratą zatrudnienia, oraz wpływają na pogorszenie atmosfery i wydajności pracy w przedsiębiorstwie."

Zadajmy sobie pytanie czy elementy tak zdefiniowanego zjawiska można odnaleźć w przeszłości, np. w sytuacji polityczno-wyznaniowej w Rzeczypospolitej u końca XVI w. i w wieku następnym? W tym okresie niekwestionowaną pozycję wśród wyznań chrześcijańskich zajmował, oczywiście, katolicyzm, a popularność ideologii reformacyjnych systematycznie spadała. Tzw. zgoda sandomierska zawarta już w końcu panowania Zygmunta Augusta (1570 rok) de facto nie spowodowała ścisłej współpracy miedzy protestantami, a brak wspólnego frontu wobec katolicyzmu osłabiał ich pozycję i atrakcyjność wyznania, zwłaszcza w oczach magnaterii. Poza tym, do szeroko zakrojonej akcji kontrreformacyjnej, obejmującej m. in. organizację szkolnictwa i działalność kaznodziejską, przystąpili jezuici. Na wschodnich terenach funkcjonował też Kościół prawosławny, jednak zależny w dużej mierze od monarchy i raczej słaby organizacyjnie. Prawo do zwierzchnictwa nad nim rościł sobie powołany w 1589 roku patriarchat moskiewski. Mimo to, w życiu politycznym kraju protestanci, szczególnie kalwiniści, a także, w mniejszym stopniu, prawosławni odgrywali wciąż dużą rolę. Jednak na początku XVII w. sytuacja zaczęła ulegać zmianie. Na krzesłach senatorskich zasiadało coraz mniej tzw. dysydentów. Zjawisko to zaznaczyło się wyraźnie w drugiej połowie rządów Zygmunta III Wazy, zwłaszcza od roku 1606. Badania nad składem wyznaniowym senatu Rzeczypospolitej podejmowali m. in. Eugeniusz Barwiński, Włodzimierz Dworzaczek i Henryk Lulewicz. Analizy przeprowadzone przez Barwińskiego dla lat 1588 - 1591 pokazują, że o ile w 1588 roku na 38 senatorów aż 25 nie było katolikami, to już w roku 1591 dało się zauważyć niewielką przewagę katolików. W 1606 roku zaś w instrukcji dla nuncjusza Simonetti'ego papież wyraził swe zadowolenie z polityki nominacyjnej i kontrreformacyjnej Zygmunta III. Również ustalenia Henryka Lulewicza dla Wielkiego Księstwa Litewskiego wskazują, że o ile jeszcze w roku 1596 liczba protestantów piastujących godności senatorskie z tej części Rzeczypospolitej wynosiła 10, to po 12 latach, w roku „burzy" zebrzydowskiej - 8, a w ostatnim roku rządów tego króla nie było już ani jednego protestanta wśród senatorów Wielkiego Księstwa. (Badania nad składem wyznaniowym senatu Rzeczypospolitej utrudnia - jak wskazuje Dworzaczek - fakt, iż pełnymi wykazami senatorów dysponujemy tylko dla Wielkiego Księstwa Litewskiego i Prus Królewskich, a ponadto nie zawsze możliwe jest ustalenie przynależności wyznaniowej poszczególnych senatorów).

W okresie rządów syna Zygmunta III, Władysława IV, protestanci i prawosławni w niewielkiej liczbie powrócili do senatu (w Wielkim Księstwie Litewskim w roku 1637 było 2 protestantów, w 1648 - 4, a w 1655 - 3), jednak u kresu panowania Jan Kazimierza urzędy przyznawano już tylko wyłącznie katolikom.

Analizując takie statystyki można dojść do dwóch pozornie odmiennych wniosków. Pierwszy mógłby być taki, że w tym okresie król miał już bardzo ograniczoną możliwość mianowania protestantów, bo mogło najzwyczajniej brakować osób godnych mianowania na najwyższe urzędy. Drugi zaś, że to właśnie polityka króla doprowadziła do eliminacji protestantów z życia politycznego i w dużej mierze także z krajobrazu wyznaniowego Rzeczypospolitej w ogóle (chociaż trzeba nadmienić, że takie ujęcie upraszcza zbytnio problem, ponieważ masowe wręcz konwersje magnatów i szlachty na katolicyzm w tym okresie warunkowane były wieloma innymi czynnikami, a polityka wyznaniowa monarchy stanowiła jedynie jeden z ważniejszych). Oba są tylko pozornie sprzeczne: zgodnie z przywołanymi niżej świadectwami, monarcha starał się unikać rozdawania urzędów protestantom. Początkowo jeszcze bardzo nieśmiało, potem z całą mocą, co odczuli nawet Radziwiłłowie birżańscy (skonfliktowany z monarchą, ale przy okazji najpotężniejszy protektor kalwinistów w kraju, Krzysztof Radziwiłł, za życia Zygmunta III Wazy doczekał się „tylko" urzędu hetmana polnego, a potem wielkiego, które to godności nie upoważniały do zasiadania w senacie; wojewodą wileńskim został dopiero, i to po wielu perypetiach, w 1633 roku). Taka polityka, jako jeden z czynników, prowadziła do porzucania

zarówno wyznań protestanckich jak i Cerkwi „greckiej", ponieważ po zawarciu unii kościelnej w Brześciu i delegalizacji Kościoła prawosławnego w Rzeczypospolitej także jego członkowie byli pomijani przy nadawaniu godności.

Nasuwa się więc pytanie o przyczynę tego zjawiska. Monarcha sprawujący rządy na przełomie stuleci i w pierwszej połowie XVII w. z inicjatywy swego syna, późniejszego władcy Władysława IV, upamiętniony został na pierwszym w dziejach Polski pomniku stojącym w otwartej przestrzeni urbanistycznej (autorzy projektu: C. Tencalla, C. Molli, D. Tym). Po dziś dzień jest on symbolem wykreowanej przezeń nowej stolicy kraju. Na barokowej kolumnie osadzono posąg Zygmunta III w zbroi i kapie koronacyjnej, dzierżącego w jednej ręce miecz, a w drugiej krzyż. Atrybuty te miały symbolizować trzy funkcje króla: władcy, żołnierza i, co dla nas w tym miejscu szczególnie ważne, obrońcy wiary katolickiej. Świadczyły one również o realizowanych przez niego kierunkach polityki zewnętrznej i wewnętrznej. Pierwszy władca Rzeczypospolitej z nowej, szwedzkiej dynastii, był synem luteranina i katoliczki, ale jego ojciec, Jan III Waza, zgodził się na wychowanie syna w duchu Kościoła rzymsko-katolickiego. Jako kilkunastoletni chłopiec, Zygmunt III podobno odznaczał się dużą pobożnością i przywiązaniem do katolicyzmu. Nie przyjął luteranizmu nawet wtedy, gdy zagrożono mu utratą tronu w przyszłości, komentując to tak: „już ja nie cenię królestwa mego tak wysoko, abym je za niebieskie pomieniał". Okazał się więc zaangażowanym ideologicznie katolikiem. Kiedy obejmował tron Rzeczypospolitej w wieku zaledwie 19 lat, zastał w kraju swej matki skomplikowaną sytuację wyznaniową. Niezależnie od tego czy, jak chcą jedni historycy, młody monarcha, znajdujący się pod silnym wpływem jezuitów, owładnięty był myślą o wykorzenieniu z kraju „herezji" już w chwili przybycia w granice Rzeczypospolitej, czy też, według innych, taką misję połączoną z dążeniem do zawarcia unii kościelnej z prawosławnymi zaczął realizować dopiero pod wpływem tutejszych polityków i duchownych (E. Barwiński), faktem jest, że już w czwartym roku jego rządów w senacie Rzeczypospolitej daje się zauważyć przewaga katolików, która w latach następnych systematycznie rosła.

Na krakowskim dworze Wazy, wedle słów współczesnego i dodajmy, niechętnego jezuitom, historyka, Pawła Piaseckiego, czołową rolę odgrywali jego spowiednik i kaznodzieja, a urzędy rozdawano jedynie tym, którzy schlebiali owym osobom. Kaznodzieją był, jak wiadomo, Piotr Skarga, który nakłaniał króla, aby nie obdarzać heretyków „na przyszłość" urzędami publicznymi. Owo „na przyszłość" wskazywało, że monarcha zmuszony był początkowo tolerować wcześniejsze nominacje dysydentów, a nawet wciąż jeszcze nadawać wysokie godności niekatolikom. Jednak, zgodnie ze świadectwem Jana Wielewickiego, kronikarza zakonu jezuitów: „po latach wszystkie prawie kierownicze

stanowiska w państwie przeszły do rąk katolików, a heretycy poczęli się wstydzić, iż tkwią w tym błocie, przez które, jak widzieli, są ku swej hańbie nie dopuszczani do zaszczytów".

Inne świadectwo polityki wyznaniowej hiperkatolickiego króla dał nuncjusz papieski Germanik Malaspina: „nie mogąc tedy wprost wystąpić przeciwko heretykom, z obawy, aby mu nie wypowiedziano posłuszeństwa, stara się ubocznemi drogami dojść do tego samego celu, to jest, że nie daje żadnej godności, żadnego starostwa ludziom innego wyznania, i tym sposobem nie przestaje krzewić wiarę i wypleniać herezję". Zatem w pierwszych latach rządów monarcha musiał liczyć się z realną siłą magnaterii protestanckiej, zwłaszcza potężnych Radziwiłłów z kalwińskiej linii na Birżach i Dubinkach (linię katolicką zwano książętami na Ołyce i Nieświeżu).

Czy takie działania monarchy zaangażowanego w dzieło restytucji katolicyzmu w Rzeczypospolitej, a potem również senatorów i posłów katolickich można określić jako przemoc? Korona i Wielkie Księstwo Litewskie, a następnie Rzeczpospolita chlubiły się od czasu rozkwitu wyznań reformacyjnych (a na wschodnich rubieżach nawet wcześniej) swoistą tolerancją wyznaniową, choć nie były przecież jedynym krajem w Europie, gdzie de facto nie prześladowano z powodu konfesji (ostatnio coraz częściej wskazuje się na XVII-wieczne Niderlandy, czy Siedmiogród), ale nawet w okresie wzmożonej akcji kontrreformacyjnej, mimo powtarzających się tumultów wyznaniowych (trzeba dodać, że miały one miejsce głównie w miastach, choć zdarzało się, że katolicy, w celu ich odzyskania, organizowali najazdy na zbory, których właścicielami była szlachta), nikogo siłą nie zmuszano do rezygnacji z przekonań religijnych. Nawet antytrynitarzom, znienawidzonym zresztą nie tylko przez katolików, ale i przez rozmaite odłamy protestantyzmu, np. przez kalwinistów (vide: akta synodalne Jednoty Litewskiej z XVII w.) pozostawiono w roku 1658 wybór: albo nawrócenie, albo emigracja. Nie używając więc przemocy fizycznej, poprzez politykę m. in. rozdawnictwa urzędów, stosowano swoistą przemoc psychiczną. Wykorzystano przy tym doskonale koniunkturalizm znakomitej większości ówczesnej magnaterii (w tym również dysydenckiej), doprowadzając jednak zapewne niekiedy do dramatycznych wyborów. Aby zachować dotychczasowy status i pozycję społeczną przedstawiciele wielkich rodów musieli decydować się na zmianę wyznania. Presja dworu monarszego, konieczność utrzymania się w elicie politycznej kraju, choćby z racji obowiązków wobec rodziny, prowadziła do licznych konwersji. Jan Antoni Chrapowicki, wojewoda witebski, w swym pamiętniku wspominał, że kiedy Marcjan Ogiński, członek kniaziowskiej linii tego rodu silnie jeszcze związanej z Cerkwią „grecką" starał się o urząd senatorski, dobitnie podano mu warunek: albo unia kościelna, ewentualnie katolicyzm, albo nie ma nominacji. W przypadku kniazia władającego niemałym majątkiem, skoligaconego z potężnymi rodami magnackimi (Hlebowiczami i Radziwiłłami), brakującym elementem jego prestiżu społecznego pozostawał właśnie urząd senatorski. Urząd ten mógł uzyskać jedynie poprzez konwersję. Marcjan „poszedł na skróty", pomijając przyjęcie unii: w 1670 roku był już katolikiem i cieszył się godnością wojewody trockiego. Czy wobec takiej i wielu podobnych sytuacji można zaryzykować stwierdzenie, że wcześniej Zygmunt III Waza, a także jego następcy stosowali elementy mobbingu wyznaniowego? I jak ich działania mogłyby korelować ze współcześnie opisanym zjawiskiem?

Rozpatrując problem pod kątem tych pytań, należałoby, oczywiście, odrzucić pewne sztywne elementy współczesnego określenia mobbingu (takie, jak choćby nie krótsze niż sześciomiesięczne oddziaływanie, czy: nie rzadziej niż raz w tygodniu). Dla naszych rozważań istotniejsze będzie stosowanie w ramach tych działań nacisku psychicznego, godzącego z definicji w godność i osobowość człowieka, a także fakt spowodowania, może nie zaraz lęku o utratę zatrudnienia, ale obawy, że nie uzyska się stanowiska, które zapewni odpowiedni prestiż osobie zainteresowanej i jej rodzinie. Jeśli przyjmiemy, za historykami i socjologami, że wysoki urząd był jednym z podstawowych kryteriów przynależności do grona magnaterii, to nie zdziwi nas fakt, że wielu innowierców kładło na ołtarzu kariery swe dotychczasowe przekonania religijne, bardzo często robiąc to bez przekonania ideologicznego, a jedynie pod naciskiem panującego lub jego doradców. Oczywiście pojawia się tu pytanie o ich prawość i kręgosłup moralny, ale wobec określonej rzeczywistości, w tym wypadku polityki wyznaniowo-nominacyjnej Wazów, zrozumiałe jest, charakterystyczne dla wielu grup, społeczeństw, kręgów kulturowych i epok, dążenie do utrzymania lub uzyskania możliwie najwyższego miejsca w hierarchii społecznej.

Wszystko to (chociaż prosta transpozycja współcześnie obserwowanych zjawisk w tak odległe czasy wydaje się na pierwszy rzut oka dość ryzykowna) skłaniać może do opisania przedstawionych powyżej działań monarchów w XVII w. jako charakterystycznych dla tego, co obecnie mieści się w znanym nam pojęciu mobbingu.

Czy w przeszłości stosowano mobbing?

Podstawowe źródła informacji:

A. J. Chrapowicki, *Diariusz*, oprac. i wstęp T. Wasilewski, t. 2, Warszawa 1988;

Relacje Nuncjuszów Apostolskich i innych osób o Polsce. Od roku 1548 do 1690, t. 1, Berlin - Poznań 1864.

E. Barwiński, *Zygmunt III i dysydenci*, „Reformacja w Polsce", t. 1.1 (1921).

W. Dworzaczek, *Oblicze wyznaniowe senatu Rzeczypospolitej polskiej w dobie kontrreformacji* [w:] *Munera litteraria. Księga ku czci Profesora Romana Pollaka*, Poznań 1962.

J. Kębłowski, *Dzieje sztuki polskiej*, Warszawa 1987.

M. Liedke, *Od prawosławia do katolicyzmu. Ruscy możni i szlachta wobec wyznań reformacyjnych*, Białystok 2004.

H. Lulewicz, *Skład wyznaniowy senatorów świeckich Wielkiego Księstwa Litewskiego za panowania Wazów*, „Przegląd historyczny", t. 68 z. 3 (1977)

J. T. Maciuszko, *Staropolska kategoria „stan" - Max Weber i słownictwo szlacheckie*, „Przegląd Historyczny", t. 74 z. 3 (1983).

L. Podhorodecki, *Wazowie w Polsce*, Warszawa 1985.

A. Rachuba, *Ogiński Marcjan Aleksander*, Polski Słownik Biograficzny, t. 23, Wrocław - Warszawa - Kraków - Gdańsk 1978.

M. Rożek, *Blaski i cienie baroku*, Kraków 1992.

J. Tazbir, *Wstęp* [w:] *P. Skarga, Kazania sejmowe*, Wrocław 2003.

H. Wisner, *Radziwiłł Krzysztof*, [w:] *Polski Słownik Biograficzny*, t. 30, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk 1987.

H. Wisner, *Zygmunt III Waza*, Warszawa 1984.

Strony:
www.mobbing.pl
en.wikipedia.org/wiki/Mobbing

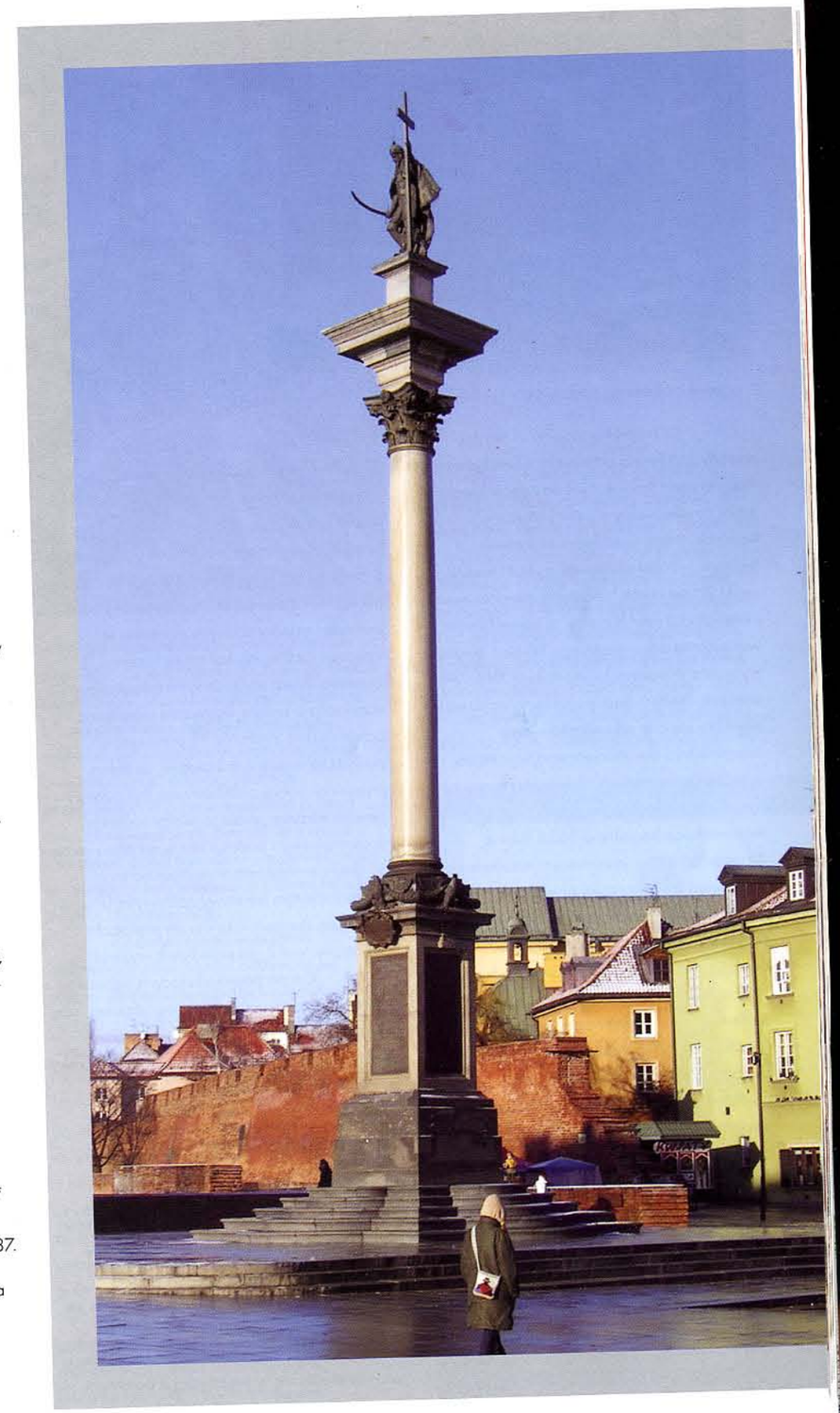

O zwadkach sarmackich i duelistach

IWONA H. PUGACEWICZ

Pojedynek sarmacki to bardzo specyficzna forma pojedynku nowożytnego. Na pierwszy rzut oka jest on zdecydowanie mniej cywilizowany niż ów klasyczny, francuski, któremu najlepsi mistrzowie fechtunku -Włosi ofiarowali kunszt i technikę walki, gdzie coraz bardziej rozbudowywany ceremoniał żądał kartelusza, sekundantów, wyszukania odpowiedniego miejsca zwady, wybrania stosownej broni. Polskie XVII-XVIII-wieczne duellum (łac. pojedynek) najczęściej obywało się bez sekundantów, bez odpowiednio sformułowanego wyzwania, byle jak i byle gdzie. Od powyższej reguły bywały oczywiście odstępstwa. I tak potyczka wojewodzica Sapiehy w 1634 roku z Kossobudzkim, wojewodzicem mazowieckim, czy ponad sto lat później pojedynek Tarły z podkomorzym Poniatowskim – to typowe przykłady zastosowania pełnego ceremoniału. Przeglądając księgi sądowe, najróżniejsze relacje czy wreszcie pamiętniki z siedemnastego i osiemnastego wieku wyjątkowo rzadko natrafiamy na pełną celebrę, natomiast roi się od duellów i duelków, zwadek, potyczek i powabek, a wszystko „ku okazaniu prawdy, ku honorowi obronie".

Skoro posługujemy się za szlachtą pojęciem pojedynku, muszą istnieć w miarę jasne, rodzime wyróżniki tego typu zajścia. Spróbujmy im się przyjrzeć nie w Warszawie, Grodnie, Wilnie czy innym dużym mieście, ale na prowincji, odnajdując się w sarmackiej codzienności.

Pojedynek niewątpliwie zarezerwowany jest wyłącznie dla szlachty. Tylko ta, w świetle traktatów i rozpraw filozofów, posiadała honor, który w przypadku obrazy wymagał odpowiedniej formy odkupienia. Wprawdzie w Europie wraz z narastaniem prądów oświeceniowych i z demokratyzacją pojęcia honoru, również i pojedynek zaczyna być adaptowany na potrzeby stanów niższych, niemniej w Rzeczpospolitej, do końca jej istnienia, zjawisko to jest obce. Jedyna odnaleziona wzmianka o próbie wyzwania szlachcica przez chłopa z roku 1691 potwierdza powyższą regułę tym bardziej, że chłop, pracowity Sobek z Odechowa, był pijany i pewnie właśnie „dlatego mając wszelkie dozwoleństwo i poduszczenie od pana swego do domu protestanta w niebytność jego zaszedłszy, tam go słowy zelżywymi (których uszy bolą słuchać) jako mu się podobało pokomptentował, na poiedynek wyzwał".

Grupę pojedynkujących się można zawęzić jeszcze bardziej: „niegodzieneś, aby cię bito szablą, ty nie masz posesyjej" - tłumaczył się Wojciech Gajewski w 1676 roku przed sąsiadem Adrianem Solińskim. Nie spotykamy zajść między magnaterią a szlachtą niższą, między patronami a ich klientami. Pojedynki rozstrzygające spór zarezerwowane są przede wszystkim dla szlachty średniej, równej między sobą. Żaden z Ochockich, Pasków, Matuszewiczów nie śmie nawet pomyśleć o wyzwaniu Paców, Radziwiłłów, Czartoryskich, tak jak żaden ze średniej szlachty ziemi łęczyckiej z Zabokrzeckich, Zieleniewskich, Wysockich, etc. nie wadzi się w pojedynku z potężnymi Kossowskimi, Stokowskimi, Wężykami czy Walewskimi. Biją się między swymi, siebie wyzywają i tylko na tym poziomie ideologia o równości Panów Braci wyraźnie jest szablą w obronę brana.

Wyzwanie na pojedynek zazwyczaj bywało spontaniczne i miało odnieść skutek natychmiastowy. Nieodzowny atrybut, swego rodzaju kartelusz, to "goła szabla", wyciągnięta zupełnie, rzadko do połowy, z pochwy. „Czekam go z gołą szablą i nie boję się go in duellum provocavit" - to najczęstszy rodzaj zawołań odnotowany w dokumentach sądowych.

Rozliczne cytowane przez poszkodowanych wyzwania, z reguły same w sobie obraźliwe, często mimochodem wskazują na przyczynę nagle podjętego pojedynku: „chcesz się ze mną prawem zetrzeć, zetrzej że się szablą, lub: będziesz ty mnie taki a taki synu po księgach gluzował, biej się teraz!"

Brak konieczności wcześniejszego wyzwania, dania kartelusza, stosownej umowy etc. wynikał ze słabo utrwalonej tradycji owych prywatnych duellów, jak i z surowości polskiego prawa. Potwierdzenie tego typu porywczości odnajdujemy też w

Szabla husarska

Dyskusja sejmikowa

polskiej literaturze pamiętnikarskiej. Jan Poczobut Odlanicki relacjonując 44 lata swego życia, w czasie których przyszło mu się 22 razy pojedynkować, tylko raz wspominał: „przysłał czeladnika, żebym jutro był gotów na pojedynek wyniść, com z miłą ochotą deklarował", ale w innym miejscu dodał: „w sprawach honorowych, gdy szło o obronę czyją, nie składano żadnych sądów, nie sprowadzano super-arbitrów, bo każdy stróżem będąc czci swojej, patronem i sędzią honoru swego, nie poddałby go pod żadną w świecie decyzyą".

Kolejnym, nieodzownym elementem sarmackiego pojedynku są godni świadkowie. Zasada statystowania z góry wyznaczonych sekundantów była zapewne znana i powszechniej stosowana w większych miastach Rzeczypospolitej dopiero od XVIII wieku. Szlacheckiej prowincji pojęcie sekundantów wydaje się być nie tyle obce, co kompletnie nieprzydatne. Zastępują ich rzesze braci przypatrujące się zwadzie, jeśli trzeba biorące czynnie czyjąś stronę. Byli to najsprawiedliwsi, bo niewybierani arbitrzy, wszyscy równi i najczęściej zgodni między sobą. Kiedy po zerwaniu sejmu 1758 roku wynikła szlachecka zwada pamiętnikarz Marcin Matuszewicz, opowiadający się za jednym z pojedynkowiczów wspomina, że nic złego stać się jemu nie mogło, „ale go bracia sekundowali". Asysta mogła być umówiona lub przypadkowa, na tyle liczna, ażeby poświadczyć o rezultacie, rozreklamować imię zwycięzcy i popsuć reputację przegranego, a przede wszystkim w razie czego interweniować. Bywało, że czasem pojedynek dzielił świadków i inicjował walkę na drugim planie przyjmującą formę tumultu, zwykłej zbiorowej bójki.

Zdecydowana większość ówczesnych pojedynków odbywała się pieszo. Zaniechano dawnych rycerskich tradycji – konnych walk turniejowych na rzecz pieszych przy użyciu szabli. Szabla była nieodzowną częścią stroju szlacheckiego. Nawet prawo zabraniające surowo pojedynków, szablę traktowało w sposób szczególny. W wydanej w 1578 r. konstytucji o bezpieczeństwie sejmów i sejmików czytamy: „Żaden tak na sejmik ku obieraniu sędziów, jako i na miejsce gdzie sądy będą sprawowane, aby nie śmiał przyjeżdżać i przychodzić z żadnemi innemi broniami okrom miecza, korda, szable, szpady". Broń palną, pogardliwie wówczas nazywaną rożnem francuskiem, mieli Polacy w lekceważeniu. W 1601 r. zakazano posiadania „tak na prywatnych, jako i pospolitych zjeździech, biesiadach szlacheckich strzelby, półhaków, rusznic, łuków i innego oręża takowego, coby się jedną strzelbą nazwać". Kary za zranienie lub zabicie kogoś bronią palną płacono w podwójnych stawkach. W *Opisie obyczajów za panowania Augusta III* Jędrzej Kitowicz napisał: „szabla czarna służyła do pojedynku, najwięcej tym orężem odbywanego". Tak więc szabla jest nie tylko najzacniejszą bronią szlachecką, ale też wyciągnięta z pochwy symbolizuje wyzwanie, odstawiona w honorowy kąt domu świadczy o pokoju i niezwykłej ufności wobec gospodarza i jego gości.

Oświeceniowe relacje najsłynniejszych pojedynków polskich wskazują na tradycyjne pole pojedynkowe - dobrze ubitą ziemię na obrzeżach miasta. Tak jak w całej Europie, rozlew krwi w miejscu królewskiego pobytu był karany na gardle. W prowincjonalnej praktyce pojedynek mógł odbyć się prawie wszędzie tam, gdzie byli świadkowie. Szlachta potykała się na rynku, na ulicy, na drodze, przed kościołem, karczmą, domem. Również i jarmark, targ - miejsca obrotu towarem i pieniędzmi, bywały

Szlachcic polski, Jan Piotr Norblin

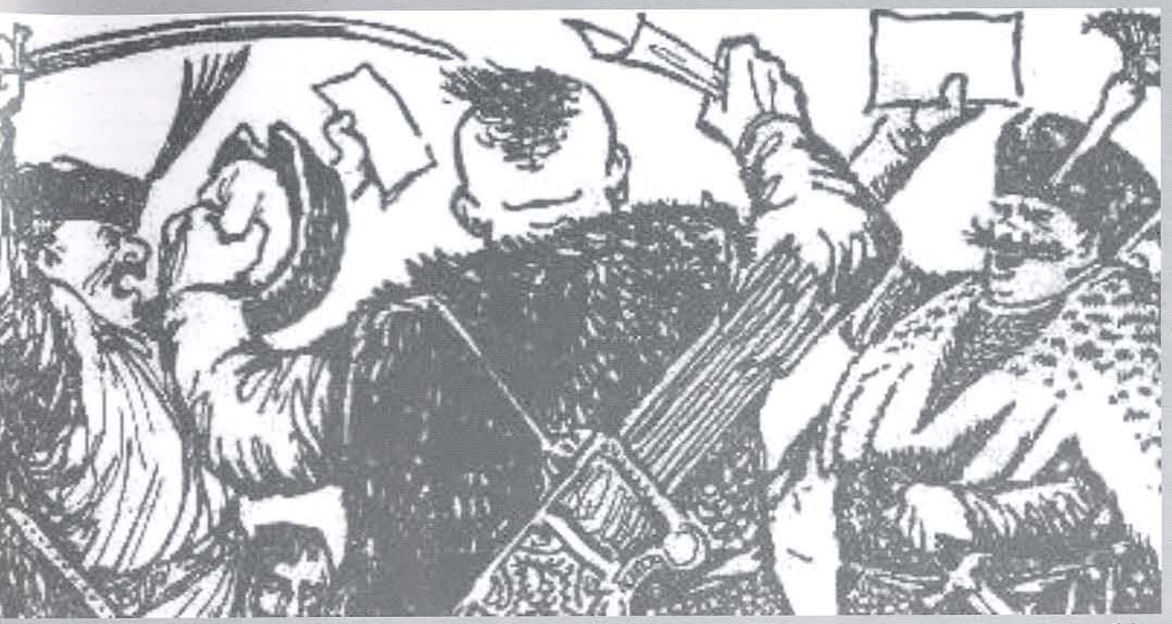

Elekcja

częstymi świadkami szlacheckich zwad. Natomiast nie znajdujemy pojedynków odbywanych w kościołach. Nawet, jeśli ścigany szlachcic schronił się w świątyni przed adwersarzem, ten ostatni nie ośmielał się wewnątrz walki wszczynać, a raczej krzyczał i wyzywał przeciwnika przed kościół. Podobnym szacunkiem cieszy się dom. Wyzywanie rywala „przed wroty dworu" jest bardzo często spotykane w źródłach. Najmniej poważanym schronieniem przed pojedynkiem jest karczma. Przy „podpitej z obu stron sprawie" natychmiast sięgano do broni, często nie zadając sobie trudu wyjścia na zewnątrz. Ale i w tym przypadku widoczna jest tendencja unikania bójki w środku. Najczęstsza forma wyzwania: „wychodź taki a taki synu", sugerowała ruch, zmianę miejsca dla odbycia zwady. Skoro już jesteśmy przy karczmie, oddajmy głos Janowi Chryzostomowi Paskowi: „I tak sobie dyszkutujemy, żeśmy i podpili jako to moda polska. Przy owym podpiciu co się przypomnie afekt, to się ledwie nie łzami koloryzuje trunek". O tym jak owe łzy wymieszane z gorzałeczką działały na porywczość szlachty, nikogo nie trzeba przekonywać. „Upiłem się z tym kalwinem Wołkiem" - wspomina Poczobut „i jeszcze na pojedynek wychodziłem w te święto równo za dniem". W innym miejscu stwierdza: „że mi się nic nie dostało, bom się wyzwawszy na pojedynek z panem Józefem Zaleskim, towarzyszem roty usarskiej, przy podpitej z obu stron sprawie, uwiodłszy broń w łeb zaciął, iż śmiertelnym wszystkich być rozumiany musiał".

Sarmackie pojedynki wcale nie należały do najkrwawszych szlacheckich rozpraw, o wiele okrutniejsze w skutkach były na przykład zajazdy. Nie znajdujemy też pojedynków poprzedzonych wcześniejszymi ustaleniami, że odbędą się do pierwszej krwi, lub na śmierć i życie. Więcej grozy jest w spontanicznej zapowiedzi, niż w końcowym efekcie walki. Słusznie więc konstatuje Kitowicz, że, „szablą jeden drugiemu obciął rękę, wyciął gębę, zranił głowę, krew zatem dobyta z adwersarza tamowała zawziętość". O łagodności sarmackiego duellum, a może o braku zawziętości szlachty polskiej, skłonności do mediacji, świadczą najróżniejsze wspomnienia postronnych obserwatorów. Pamiętniki księdza Pstrokońskiego kanonika katedry Gnieźnieńskiej, czy Józefa Kossakowskiego, biskupa inflanckiego, pełne są uroczych historyjek, na temat „pieniactwa, co się na śmiechu kończyło". A i w księgach sądowych nie brakuje takich perełek jak chociażby ta, kiedy Kacper Szczawiński tłumaczy się z niedoszłego pojedynku w ten sposób: „Gdybym nie respektował na to, żem się spowiadał, tobym tego pogańskiego syna obciął". Wzajemną złość temperowali świadkowie zdarzenia, przyjaciele, rodzina. Czasem do pojedynków nie dochodziło. Często odnosi się wrażenie, że najważniejszym momentem, a zarazem dowodem na odwagę i honor jest samo wyzwanie. Co się dalej stanie, to kwestia przypadkowego zrządzenia łaskawego losu. Niedoszły pojedynek cieszył i satysfakcjonował. Franciszek Karpiński wspominał: „Jużem lat miał ze dwadzieścia, kiedy ojciec mój, wyzwany na pojedynek od towarzysza przedniej straży, Janiszewskiego, nazajutrz rano na tę walkę wychodzić miał.(...) Ale zawzięci pogodzili się bez bitwy, a ja zyskałem na tym, kiedy się ojciec dowiedział, bo mi piękniejszą szabelkę kupił". Oficjalne odmowy walki honorowej znajdują liczną reprezentację źródłową. I, co wydaje się równie interesujące, tego typu odmowa rzadko kiedy jest oceniana jako dyshonor, jako rzecz hańbiąca, gdyż „w Polsce można było z godnością pojedynku nie przyjąć, przez uszanowanie dla praw Rzeczypospolitej, jako uchwalonych przez naród, a zakazujących pojedynkowania". Z kolei mediatorzy, którym udało się doprowadzić do zgody często przedstawiani bywają jako bohaterowie. Wśród tych ostatnich liczne są kobiety. Kiedy rozwścieczony Stanisław Wężyk wpada z gołą szablą przed dworek Kazimierza Tarnowskiego, „Jejmość pani Tarnowska z domu Relska chcąc mitygować rzeczy między małżonkiem a tymże panem Wężykiem, męża nie puściła lecz sama jako białogłowa wyszła do pana Siedleckiego, spodziewając się jako dama od Imci należytego respektu te formalia rzekła: Imci Panie Siedlecki, a dla Boga, cóż się Waści stało, że Waszeć nachodzi Małżonka mego?" Niekiedy szlachcianki uciekały się do podstępu. Matuszewicz wspomina: „Wielhorski, kuchmistrz litewski, w obronie swego psa zabił pokurcia Paszkowskiemu. Ten wyzywa go na pistolety. Żona przechwytuje list i czyta, mężowi mówi jedynie, że Paszkowski niezadowolony, ten wysyła mu konia 30 zł. czerwonych wartego" i na tym się kłótnia zakończyła.

Podsumowując rozważania o pojedynkach niedoszłych, oddajmy głos Poczobutowi: „chwała Najwyższemu, gdyż tak powiadają - Gdy nieprzyjaciel uchodzi i prosi mosty mu mościć, a nie karze hardzie Bogu ku wzgardzie".

Marion Ball, *Pojedynek*

Wraz z epoką oświecenia, wraz z epoką ewidentnych wpływów francuskiej kultury na życie codzienne, sarmacki pojedynek, dawna honorowa zwada, zostaje stopniowo wyparty z szerokiego wachlarza nieformalnej regulacji stosunków międzyszlacheckich. W Europie triumfuje pojedynek lepszy - typu francuskiego, z całą procedurą: odpowiednim wyzwaniem, wyborem broni, czasu, terenu i sekundantów. Obyczaje się cywilizują, co niestety zawsze jest równoznaczne z ich przemijaniem. Sarmacka, niewinna zwadka oglądana z perspektywy XVIII czy XIX wieku być może nie zasługuje na miano pojedynku, ale jakże jej tego tytułu odmówić skoro sami zainteresowani zwali się duelistami, a obrony honoru w duellum upatrywali.

Typy polskie, Jan Piotr Norblin

Juliusz Kossak, *Odsiecz smoleńska* - zima stanowiła zawsze najgorszy okres w służbie.
(http://www.pinakoteka.zascianek.pl/Kossak_Jul/Images/Odsiecz_Smolenska.jpg)

Przemoc wśród żołnierzy

w wojsku Rzeczypospolitej XVI - XVII

KAROL ŁOPATECKI

Zbliża się matura. Jej wyznacznikiem jest studniówka ... i obowiązek zgłoszenia się do Wojskowej Komisji Rekrutacyjnej. Następuje chwila prawdy - nasz Jan Kowalski jest gotowy do pełnienia służby wojskowej. Pot leje się z naszego bohatera, gdy pomyśli o konsekwencji źle zdanej matury.

W okresie PRL-u i w latach 90-tych odrodzonej Polski ze wszelkich sił starano się uniknąć obowiązkowej służby wojskowej. Współcześnie w wyniku bezrobocia wielu ludzi z własnej woli zgłasza się do armii. Jednak jeden element życia koszarowego pozostaje bez zmian - przemoc wśród żołnierzy. Z perspektywy historycznej nie dziwi, że urlopowani żołnierze demolują pociągi, czy biją pasażerów, gdyż relacje wojskowi - cywile nigdy nie układały się dobrze. Zastanawiające jest, czy w przeszłości, wśród samych żołnierzy panowały tak bezwzględne relacje. Jak wyglądało to w czasach, gdy Polska w ramach Rzeczypospolitej Obojga Narodów była regionalnym mocarstwem i odnosiła najbardziej spektakularne sukcesy militarne.

Pierwszą, ale zasadniczą różnicą pomiędzy prezentowanymi okresami jest fakt, iż w Rzeczypospolitej Szlacheckiej służba wojskowa miała charakter dobrowolny. Było to możliwe ze względu na kilka uzupełniających się okoliczności:
- niewielka liczebnie armia redukowana w okresach pokojowych do kilku tysięcy żołnierzy;
- traktowanie przez szlachtę służby wojskowej jako zaszczytu, moralnego obowiązku, a nierzadko źródła utrzymania;
- zorganizowane wojska w tzw. armię zaciężną, tworzoną systemem towarzyskim.

Szczególnie trzeci punkt wymaga wyjaśnienia. Ówczesne europejskie siły zbrojne miały charakter armii pieniężnych, tzn. wynagradzanych za służbę żołdem. Nie inaczej było w Rzeczypospolitej. Różnica polegała na statusie głównodowodzącego daną jednostką taktyczną. W Europie Zachodniej preferowano armie najemne, gdzie dowódca był przedsiębiorcą oferującym władcom wynajem oddziału na ściśle określony okres czasu. Tak stworzone armie miały charakter wojsk zawodowych, ale żołnierze nie byli emocjonalnie związani z państwem najmującym. Powodowało to ogromne niebezpieczeństwo dla kraju, w sytuacji, nie otrzymania na czas zapłaty. Dowódca czuł się zwolniony z umowy, co kończyło się z reguły porozumieniem z wrogiem, a nawet próbą wykrojenia własnego terytorium, jak miało to miejsce w średniowiecznej Italii. Na bazie tych doświadczeń Niccolo Machiavelli postulował zastąpienie doskonale wyszkolonych, ale niekarnych i pozbawionych norm moralnych najemników, na związaną z państwem obywatelską milicją. Armia zaciężna funkcjonująca w Koronie i Wielkim Księstwie Litewskim okazała się przysłowiowym złotym środkiem, wojskiem, które posiadało pozytywne cechy obu organizacji.

W Rzeczypospolitej w razie konieczności oddziały formowano na terenie własnego państwa. Dowódca zwany rotmistrzem otrzymywał specjalny dokument mówiący o możliwości zaciągnięcia oddziału na służbę Jego Królewskiej Mości. Wówczas rotmistrz objeżdżał okoliczne dwory szlacheckie i zapraszał do tworzonej przez siebie roty towarzyszy. Byli to z reguły ludzie obdarzeni klejnotem szlacheckim, którzy swego wodza darzyli nie lękiem, lecz koleżeńską estymą. Dowodem na to jest sam wyraz „towarzysz", który obecnie jest synonimem kolegi. Zainteresowani pisali, że „służą z rotmistrzem", a nie „pod rotmistrzem". Innymi słowy status towarzyszy w wojsku był bardzo wysoki, a relacje między żołnierzami dobre.

Towarzysz nie służył sam. Zabierał z folwarku kilku zaufanych chłopów, których uzbrajał i formował z nich przybocznych żołnierzy, zwanych pocztowymi. Nie była to przypadkowa zbieranina, gdyż mieli oni chronić swego pana przed niebezpieczeństwami wojny. Pocztowi służyli w armii, ale to towarzysz otrzymywał za nich żołd, opiekował się nimi i wydawał rozkazy. Niezbędne było również, by szlachcic wziął z domu rodzinnego wóz z woźnicą oraz służących zwanych czeladzią, którzy nie wchodzili jednak w skład wojsk. W taki sposób tworzono nie tylko oddziały jazdy, lecz również piechoty. Jednakże, wobec niechęci szlachty do służby w jednostkach pieszych zmieniono system organizacji na wzór zachodnioeuropejski. Stąd powstał podział na wojska autoramentu narodowego i cudzoziemskiego.

Po takim zobrazowaniu struktury armii polskiej i litewskiej, rozumiemy, dlaczego w ówczesnym wojsku autoramentu narodowego nie było tzw. fali. Nie oznacza to, że zaciągający się młodociany szlachcic mógł czuć się zupełnie bezpiecznie. Przybywając do sformowanego już oddziału należało ustalić przysłowiowe „miejsce w szeregu". Zapisywane ono było w tzw. roli, czyli dokumencie z wypisanymi zaciężnymi według gradacji: rotmistrz, jego zastępca - porucznik, chorąży... Kolejne miejsca ustalano na podstawie liczby pocztowych, nierzadko jednak i przy pomocy szabli. Młody „rycerz" przechodził chrzest bojowy, jednak nie z wrogiem, lecz z kolegą z oddziału. Tak opisuje to Poczobut Odlanicki: „nazajutrz jeli mnie młodego próbować, a mianowicie pan Hołubicki zwadziwszy się ze mną, gdy nie umiał nic w potkaniu", chcąc nauczyć młodzieńca pokory, po rozdzieleniu „gdym szablę do pochew włożył, z tyłu przypadłszy . ciął mnie w łopatkę".

W powyżej opisanych sytuacjach oraz we wszelkich innych sporach sprawę rozstrzygały pojedynki. Mimo, że były one prawnie zakazane to jednak z biegiem lat coraz bardziej się upowszechniły. Jan Chryzostom Pasek w ciągu jednej doby przeżył trzy starcia, a pewnego wyjątkowego dnia w obozie wojskowym odbyło się 15 pojedynków! Wydaje się jednak, że miało to również pozytywne skutki: kanalizowało w miarę bezpieczne agresję zaciężnych (szable

Juliusz Kossak, *Rotmistrz chorągwi pancernej*
(http://www.pinakoteka.zascianek.pl/Kossak_Jul/Images/Rotmistrz_pancerny.jpg)

Józef Brandt, *Towarzysz Pancerny*
(http://en.wikipedia.org/wiki/Image:Towarzysz_pancerny.jpg)

nie były bronią tak „morderczą" jak rapiery), rozwiązywało w zwyczajowy sposób spory między żołnierzami. Z drugiej strony starcia te nie miały charakteru w pełni honorowego. Żołnierze atakowali: z zaskoczenia, do odwróconego przeciwnika lub bez broni, kilku na jednego itd. Wspomnienia zaciężnych, starych wiarusów nie pozostawiają złudzeń, że walkom tym towarzyszył dojmujący strach. Oddajmy głos XVII-wiecznym żołnierzom opisującym pojedynki: „Po prostu bałem się go, bo w oczach całej chorągwie przed kilką niedziel Pawła Kossowskiego, naszego towarzysza, posiekł. Wyszarpnę mu tedy rękę, stanę osobno i mówię: «Com ci winien? zaniechaj mię»", ktoś inny zaś opisując szczęśliwie zakończoną walkę podkreśla, że było to „za łaską Bożą a nie moim męstwem, bom nie miał więcej nad rok osiemnasty".

Dodajmy, że przykład szedł z góry i już w czasach Jana III Sobieskiego czeladź i pocztowi namiętnie tłukli się ... kijami.

Specyficznie układały się relacje dowódca – podwładny. Sama organizacja armii sugeruje, że dyscypliny nie wprowadzano poprzez terror. Honor i szlachetne urodzenie zaciężnych było wyznacznikiem należytego zachowania. Dodatkowo miały o tym przypominać artykuły wojskowe, które były zwierciadłem dobrego postępowania żołnierzy. Były one regularnie, nawet raz na tydzień, czytane, po to by nikt „niewiedzą się nie tłumaczył". Sankcje za popełnione przestępstwa były bardzo surowe i generalnie oscylowały między karami cielesnymi a różnego rodzaju karami śmierci. Oczywiście miały charakter odstraszający, ale u wybitnych wodzów bynajmniej nie pozostawały jedynie martwą literą. Za przestępstwo „zaraz sąd, zaraz pokuta, zaraz do artykułów [wojskowych]; i już by to nie oficer, gdyby ich [tzn. artykułów] zawsze w kieszeni nie miał" – pisał Pasek. Stefan Czarniecki - jak czytamy z kroniki Mikołaja Jemiołowskiego - żołnierzy „zdybanych przy jakimkolwiek ekscesie [natychmiast] albo sam[emu] wieszać się kazał, albo i sam spod uwiązanych na drzewie, albo na wrociech konie zacinał, nawet w ogień świętokradzców miotać kazał, [albo] u ogona końskiego (...) uwiązawszy za nogi po cierniach i krzakach włóczyć rozkazywał".

Z reguły stosowano jednak prostszy sposób doprowadzania ludzi do posłuszeństwa. Dowódca każdego stopnia posiadał jako oznakę oficerską pewien rodzaj broni. Najwyższy urzędnik wojskowy: hetman – buławę; rotmistrz – buzdygan, niżsi oficerowie – czekany. Nie były to jednak tylko symbole, ale również groźne „ramię sprawiedliwości". Gdy na oczach dowódcy działo się coś nieodpowiedniego miał on prawo wykorzystać trzymany w dłoni przedmiot do przywróceniu porządku. Przykładem takiego działania była postawa Jana Karola Chodkiewicza zwanego przez żołnierzy „Belzebubem". Jan Ossoliński relacjonując wyprawę na Moskwę 1617 r., opisuje reakcję hetmana, który zobaczył, że wojska maszerują w złym porządku. Dowiedziawszy się, że jest to wina Marcina Kazanowskiego, który już kilkakrotnie nie wypełniał należycie rozkazów wodza, jako człowiek popędliwy i choleryk „skoczy ku niemu z okrutną zapalczywością (...) z buzdyganem, którym nań cisnąwszy, po

Juliusz Kossak, *Przeprawa rotmistrza pancernego przez Dniestr* - tak wyglądał poczet jednego towarzysza.
(http://www.pinakoteka.zascianek.pl/Kossak_Jul/Images/Przez_Dniestr.jpg)

czapce go zjął i z wielkim krzykiem mu od matki łając, dalej go gonił, aż mu między chorągwiami [Marcin Kazanowski] znikł". Tak gwałtowny wybuch gniewu z reguły spełniał pokładane nadzieje.

Warto nadmienić, że każdy rotmistrz miał prawo sądzić wykroczenia swych żołnierzy. Mogło to prowadzić do stosowania zabójstw pod pozorem wyroku sądowego. Praktyka była jednak odwrotna, dowódcy kryli i chronili swych podwładnych. Należy jeszcze raz podkreślić bardzo rozwinięte relacje partnerskie wśród zaciężnych. Często to towarzysze narzucali swym dowódcom pewne zasady. W tym celu tworzyły się samorzutnie „koła wojskowe", czyli miejsca obrad towarzyszy i rotmistrzów, gdzie w sposób demokratyczny podejmowano różne decyzje. Nierzadko to dowódcy tracili wśród żołnierzy posłuch i mogli bać się o swoje życie. Tak jak dziś pracownicy walcząc o przywileje organizują strajki, tak kiedyś żołnierze zawiązywali konfederacje, wypowiadając posłuszeństwo wszelkim władzom. W historii Rzeczypospolitej XVI i XVII w. raz zdarzył się przypadek, w którym skonfederowane wojsko zamordowało, najwyższego dowódcę sił zbrojnych – hetmana. Ta żałosna sytuacja dotknęła Wincentego Gosiewskiego, hetmana polnego Wielkiego Księstwa Litewskiego w 1663 r. Schorowanego wodza kurującego się w pałacu w Wilnie, nawiedzili konfederaci. Zabrali go siłą z pomieszczenia, wrzucili do karety i pośpiesznie wyjechali z miasta. Na „szczerym polu" zatrzymano się, i zapowiedziano przerażonemu hetmanowi, że zostanie zabity bez sądu. Na prośby i błagania zainteresowanego zezwolono jedynie na spowiedź. Wincenty Gosiewski chwytając się życia, modlił się przez godzinę. Po czym, jak opisywali współcześni: „czterej żołnierzy, raczej katów (...) przystąpiło i każdy z nich pistolet mając nabity porządnie (...) do hetmana pod krucyfiksem klęczącego (...) ognia w niego z tyłu dali". Jest to przykład skrajny, lecz pokazujący, że dowódcy musieli liczyć się ze swymi podwładnymi.

Często wśród żołnierzy dochodziło do niekontrolowanych burd, zwanych zwadami. Niemal zawsze przyczyną było pijaństwo, często dodatkowo prowodyrami rozruchów były prostytutki, które rozjątrzały animusze. Odnotowuje Wawrzyniec Rakowski jak „towarzysz Święciński Franciszek, towarzysza Stefana Dobrowolskiego (...) najechawszy podpity (...) zabił z pistoletu". Zabójca niedługo cieszył się życiem, bowiem sam został pozbawiony życia przez przyjaciela denata. Innym razem w „zwadzie zabito nam pacholika dobrego (...) i siedemnastu rannych zostało z obu stron". Przykłady można by mnożyć.

Alkohol był również przyczyną uzewnętrznienia się najgorszych cech charakteru. Mogło się to niebezpiecznie odbić na podwładnych, o niskim statusie społecznym. Znęcano się na szeregowych piechurach, a w oddziałach jazdy na

Żołnierz biegnący przez szeregi to najczęściej występująca kara w autoramencie cudzoziemskim. *(http://www.kipar.org/military-history/military/uniforms/1695_2.jpg)*

czeladzi. Współczesna komedia „Z chłopa król" pisana z perspektywy niższych grup społecznych opisuje takie zachowania: „Ale jak sie popiją, o nieboże ciura, (...) Skacz mu [każą] przez gołą szablę, trzymaj szóstak (monetę) w palcach, A on ci ich urywa [strzelając] kulą po kawalcach".

Wymienia się inne „wyrafinowane" zabawy jak podnoszenie długich włosów do góry i strzelanie z pistoletu do nich. Efekt mógł być trojaki: albo kula trafia w ciało, albo we włosy („skórę ze łba zedrze właśnie jako z węża"), najczęściej zaś pocisk mijał cel, lecz dokonywał spustoszenia psychicznego ofiary („Bodajże więcej nie pił moczonego chmielu, Kto tak strzela do człowieka jakoby do celu!"). Oczywiście wojskowi mieli uzasadnienie powyższych praktyk, wskazując, iż w ten sposób można wykryć odważnego człowieka, godnego awansu na pełnoprawnego żołnierza.

Władze zapobiegając waśniom między zaciężnymi ograniczały w obozach spożycie alkoholu, uprawianie hazardu i posiadanie przy sobie prostytutek, „bo z tego - jak twierdzili hetmani - spory, kłótnie i burdy wszelakie" - żołnierze omijali ten zakaz utrzymując, że podróżujące z nimi kobiety są ich żonami. W artykułach wojskowych narzucano, używając dzisiejszej terminologii, poprawność polityczną: braterstwo wszystkich żołnierzy, niezależnie od pochodzenia, używanego języka czy formacji, w jakiej służy. Wprowadzano również bardzo szczegółowe normy współżycia społecznego, niezbędne w tak wielkich skupiskach ludzkich. Zakazano m.in., by nikt innemu żołnierzowi „u stanowiska albo namiotu przyrodzonych smrodów albo gnojow czynić, aby tym nie obrażał towarzysza swego". Zapobiegliwie wydawca tego dokumentu - Floryan Zebrzydowski - wytłumaczył zaciężnym jak mają się zachować: „Każdy, kto na potrzebę do wychodu idzie, ma po sobie nogą albo drewnem ziemię zarzucić albo zagrześć, aby drugiemu przykrości smrodem nie uczynił".

Podkreślano, by wszelkie zatargi i spory o każdej porze dnia i nocy przedkładano swoim zwierzchnikom, a osoby będące uczestnikiem kłótni zobligowane były do jednania. Władzom nie zależało na karaniu występków, lecz przede wszystkim na doprowadzeniu do ugody zwaśnionych stron. Sami żołnierze jednak w zapalczywości wykorzystywali prawo wojskowe by doprowadzić do rozpaczy swego przeciwnika. Warty przytoczenia casus miał miejsce w 1578 r. we Lwowie. Wówczas Tatar Timruk, służący w wojsku, pokłócił się z Wąsowiczem, który pełnił bardzo ważny urząd wojskowy - pisarza polnego. Przyczyną było potrącenie żołdu dla cudzoziemca. Według relacji współczesnych „na rynku zetknąwszy się z nim Timruk surowo z nim mówić począł, odpowiadać słowa za słowa, aż Timruk zapalony powiedział mu ono słowo, o które się i chłopi w karczmie gniewają, za czym Wąsowicz pięścią mu w gębę dał, on zaś do szable". W zamieszaniu Tatar otrzymał ranę w rękę. Był to groźny eksces, bowiem w myśl artykułu Jana Tarnowskiego „Ktoby zwadę uczynił, na hetmańskiej łasce, jeśli rani, tedy gardło, jeśli nie rani a miecza dobędzie, tedy rękę traci". W tym czasie we Lwowie znajdował się cały sztab wojskowy łącznie ze Stefanem Batorym. Nikt jednak nie myślał o karaniu, lecz o pogodzeniu obu stron. W tym celu zawieszono wydanie wyroku. W osłupienie wprowadziło jednak wszystkich oświadczenie wściekłego Timruka, który powołując się na prawa hetmańskie, chciał „aby Wąsowiczowi gardło wziąć [bo ranił go dobytą bronią], a jemu rękę uciąć [albowiem wyjął tylko szablę], albo niemożeli być tak, więc powiada i mnie i onego ściąć". W takiej sytuacji wydano wyrok bardzo znamienny. Skazano obu na karę wieży na niesprecyzowany okres czasu. Sankcja ta przyniosła znakomite skutki, bowiem wikt więzienny ostudził animusze i doprowadził do pojednania, po czym obu uwolniono.

Opisany powyżej los żołnierzy sugeruje, że wojsko generalnie nie było miejscem strasznym. Nadal bardzo ważne było pochodzenie społeczne, które decydowało o wzajemnych relacjach. Cenione były również umiejętności bojowe i braterstwo żołnierzy, które częściowo przesłaniało różnice stanowe. Dzięki temu wojsko było, jak skrupulatnie wykazywał Nekanda Trepka, głównym sposobem przedostawania się do stanu uprzywilejowanego.

Zupełnie inaczej wyglądała sytuacja w autoramencie cudzoziemskim. Nie było tam towarzyszy, którzy hamowaliby zapędy oficerów. Służyli w tych formacjach głównie chłopi i mieszczanie zwerbowani przez tzw. wolny bęben. Dowódcy wykorzystywali swoją wyższą pozycję społeczną i niemal nieograniczone uprawnienia, do bezwzględnego podporządkowania. Oficerowie zagarniali dla siebie i tak bardzo niski żołd nie zapewniając swym podkomendnym podstawowych warunków bytowych. Bez jedzenia, piwa, ciepłych ubrań na zimę, butów, panowała w tych formacjach prowadząca do przestępstw desperacja. Ksiądz Piotrowski opisując zimowe oblężenie Pskowa wspomina o żołnierzach, którzy „uciekają z szańców od zimna boso, bez czapki, bez suknie", dowódcy zaś wykorzystują ich jako ... woły: „drwa, (...) do obozu wożą za łeb aż do krwie". Prowadziło to w rezultacie do tego, iż "kto się nawinie, wydrą z kożuchów, z butów zdnią".

Podsumowując należy stwierdzić, że generalnie żołnierze odnosili się do siebie z szacunkiem. Nie oznacza to, że panowała między nimi powszechna miłość. Wręcz przeciwnie, dosłownie wszystko (miejsce w szeregu, wyznanie, pochodzenie, ubiór, język) mogło być zarzewiem kłótni, bójki, a nawet walk całych oddziałów. Organizacja wojska powodowała, że żołnierze, szczególnie służący w formacjach jezdnych, byli przez władzę zwierzchnią pobłażliwie traktowani. Nieporównywalnie gorszą sytuację mieli piechurzy, którzy pozbawieni środków do życia masowo dezerterowali i dopuszczali się różnych aktów bezprawia. Należy jednak podkreślić, że w społeczeństwie szlacheckim utrzymywała się bardzo dobra opinia o armii jako szkole wychowania patriotycznego, uczącej wielu przydatnych umiejętności i kształtującej „zdrowy" charakter. Powyższy pogląd może nas dziwić, ale obecna rzeczywistość zupełnie nie przekłada się na współczesne relacje międzyludzkie w wojsku.

Wybrana literatura:

U. Augustyniak, *W służbie hetmana i Rzeczypospolitej. Klientela wojskowa Krzysztofa Radziwiłła,* Warszawa 2005.

B. Baranowski, *Organizacja wojska polskiego w latach trzydziestych i czterdziestych XVII wieku,* Warszawa 1957.

E. Janas, *Konfederacja wojska koronnego w latach 1661 – 1663,* Lublin 1998.

J. Karwin, E. Pomianowski, S. Rutkowski, *Z dziejów wychowania wojskowego w Polsce od początku państwa polskiego do 1939 roku,* Warszawa 1969.

H. Kotarski, *Wojsko polsko-litewskie podczas wojny inflanckiej 1576 – 1582, cz. I-IV,* „Studia i Materiały do Historii Wojskowości", t. XVI - XVIII (1970 - 1972).

W. Magnuszewski, *Z dziejów elearów polskich. Stanisław Stroynowski lisowski zagończyk, przywódca i legislator,* Warszawa - Poznań 1978.

M. Plewczyński, *Żołnierz jazdy obrony potocznej za czasów Zygmunta Augusta. Studia nad zawodem wojskowym w XVI w.,* Warszawa 1985.

J. Wimmer, *Historia piechoty polskiej do roku 1864,* Warszawa 1978.

H. Wisner, *Wojsko litewskie I połowy XVII wieku, cz. I-III,* „Studia i Materiały do Historii Wojskowości", t. XIX - XXI (1973 - 1978).

J. Urwanowicz, *Wojskowe „sejmiki". Koła w wojsku Rzeczypospolitej XVI – XVIII wieku,* Białystok 1996.

D. Żołądź, *Ideały edukacyjne doby staropolskiej. Stanowe modele i potrzeby edukacyjne szesnastego i siedemnastego wieku,* Warszawa - Poznań 1990.

Józef Brandt, *Próba konia* Zagospodarowanie wolnego czasu żołnierzy stanowiło główną bolączkę dowódców. *(http://www.pinakoteka.zascianek.pl/Brandt/Images/Proba_konia.jpg)*

Kazimierz Nestor Sapieha

Ślubuje ci miłość, wierność i...

- problem relacji małżeńskich w epoce nowożytnej

IWONA KULESZA-WORONIECKA

Zagadnienie pożycia małżeńskiego i wzajemnych relacji między małżonkami to problem swymi początkami sięgający biblijnego Raju. To tam nasi prarodzice popadli w pierwszy konflikt małżeński z powodu „rajskiego jabłka". Problem jest o tyle złożony, iż dotyczy sfery relacji osobistych między kobietą a mężczyzną, a więc kwestii często bardzo intymnych, które nie były zwykle omawiane na forum publicznym. Dodatkowo sprawę komplikuje fakt, iż zarówno prawo jak i opinia publiczna pełnię władzy nad żoną przekazywały mężczyźnie. Nadużywanie tej władzy było i jest społecznie akceptowane i łatwo wytłumaczalne. Po pierwsze, jeżeli mąż bije żonę, to znaczy, że ma powód. Po drugie jeśli bije to znaczy że... kocha. Po trzecie wreszcie ludowe przysłowie mówi, że „Jeśli chłop baby nie bije to jej wątroba gnije". Tak więc używając trzech powyższych argumentów w sposób niezwykle prosty i łatwy da się wytłumaczyć i usprawiedliwić okrucieństwo i przemoc ze strony męża. Jednocześnie istniała też obiegowa opinia, że tzw. „brudy rodzinne" należy prać we własnym domu i w związku z tym nie należy publicznie mówić o problemach małżeńskich. W związku z tym relacje małżeńskie należały do sfery intymnej i były tematem tabu.

Najczęściej o małżeństwach w epoce nowożytnej mówiło się i pisało dobrze. Źródła testamentowe, które są często wykorzystywane do badania relacji rodzinnych, ukazują nam bardzo pozytywny obraz życia rodzinnego. Jest to zrozumiałe i w dużej mierze wynika z ich specyficznego charakteru. Testator w obliczu zbliżającej się śmierci zazwyczaj o współmałżonku wyrażał się dobrze i do rzadkości należą testamenty, w których piszący wyrażają się w sposób negatywny o swych współmałżonkach. Testamenty kreują więc raczej pozytywny obraz życia małżeńskiego. Kolejną kategorią źródeł wykorzystywanych przez badaczy są pamiętniki, dzienniki i diariusze. Te, najczęściej pisane przez mężczyzn, niewiele mówią o relacjach małżeńskich. Częściej rąbka tajemnicy uchylają kobiety, chociaż też niezbyt chętnie piszą o swoich kłopotach małżeńskich. Bogatszy obraz relacji małżeńskich zawierają listy, zwłaszcza te najbardziej osobiste pisane do osób bliskich i zaufanych, w których autorzy dzielą się z najbliższymi swoimi troskami i problemami dotyczącymi życia rodzinnego. Jednak źródłem, które bez wątpienia dostarcza najwięcej relacji na temat konfliktów małżeńskich, są akta sądowe. Szczególnie cenne są akta konsystorzy, ponieważ zgodnie z prawem epoki nowożytnej małżeństwo - jako sakrament udzielany przez Kościół - podlegało prawu kanonicznemu i wszelkie sprawy dotyczące małżeństwa trafiały do sądów konsystorskich. Jedynie sprawy majątkowe były rozpatrywane przez sądy świeckie.

Wśród historyków problem przemocy w rodzinie cieszy się ostatnimi czasy sporą popularnością, czego przykładem jest wydana w 2005 roku książka Elizabeth Foyster (Marital Violence. An English Family History, 1660-1857, Cambridge University Press). Autorka szczegółowo omówiła w niej problem przemocy w małżeństwie i wpływu tego zjawiska na proces wychowania dzieci. Poddała także analizie zjawisko przemocy fizycznej wśród rodzeństwa, w gronie przyjaciół, czy też praktykę stosowania przemocy wobec służby. Jednocześnie szeroko omówiła kwestię zakresu pomocy udzielanej przez różne instytucje osobom pokrzywdzonym (min.: przez policję i służby medyczne), wskazując jednocześnie na znaczenie, jakie dla rozwiązywania problemu przemocy w rodzinach angielskich miał wprowadzony w 1857 roku Divorce Act.

Ale czy przemoc domowa była w czasach nowożytnych zjawiskiem charakterystycznym jedynie dla społeczeństwa angielskiego? Źródła wskazują, że problem ten w nie mniejszym stopniu dotyczył także społeczeństwa staropolskiego. Rodzi się więc pytanie, jaki obraz relacji małżeńskich możemy zrekonstruować dla Rzeczypospolitej czasów nowożytnych. Jakie były przyczyny konfliktów małżeńskich w Polsce i jak je rozwiązywano? Pierwszą i podstawową sprawą, która zawsze negatywnie odbijała na relacjach małżeńskich, była choroba umysłowa jednego ze współmałżonków. Przykładem tego typu problemów może być małżeństwo Anny Stanisławskiej i Jana Kazimierza Warszyckiego.

Dzieje niefortunnego związku Anny Stanisławskiej z Janem Kazimierzem Warszyckim znamy dzięki wierszowanemu pamiętnikowi Anny *Transakcja albo opisanie całego życia jednej sieroty przez żałosne treny od tejże samej pisane roku 1685*, w którym autorka przedstawiła losy swoich trzech związków małżeńskich. Pierwszym jej mężem, z którym wiążą się jej dramatyczne doświadczenia, był Jan Kazimierz Warszycki (zwany Ezopem) syn możnego kasztelana krakowskiego Stanisława. Stanisławscy nie znali kasztelanica, ale doskonale znali jego majątki i rodzinne koligacje. Do Anny jeszcze przed ślubem doszły słuchy, że jej przyszły małżonek jest odrażający fizycznie i niedorozwinięty umysłowo. Prosiła rodziców o zerwanie pertraktacji przedmałżeńskich, lecz Stanisławscy nie brali pod uwagę jej zastrzeżeń co do osoby przyszłego męża. Anna, przerażona wizją małżeństwa, ciężko się rozchorowała. Nie przeszkodziło to jednak rodzicom w realizacji projektów matrymonialnych wiosną 1668 roku. W czasie ceremonii ślubnej, kiedy to Anna po raz pierwszy w życiu ujrzała swego męża, pan młody nie zdawał sobie sprawy z tego co się działo wokół niego. Podczas uczty weselnej głupio się uśmiechał, nie był w stanie wygłosić toastu ani nawet odpowiednio się ukłonić. W noc poślubną młody małżonek był bardziej zainteresowany ścieraniem kurzu z okna i łapaniem much niż żoną. Państwo młodzi, po krótkim pobycie w domu Stanisławskich, udali się do dóbr męża i zamieszkali z jego ojcem Stanisławem Warszyckim. W maju 1668 r. ojciec i teść Anny wybrali się na wyprawę na Kresy, a Anna została sama z mężem. W swym pamiętniku opisała liczne ekscesy swego małżonka, który popadał w swych nastrojach ze skrajności w skrajność, raz nazywał ją „drogą Anusią" innym razem

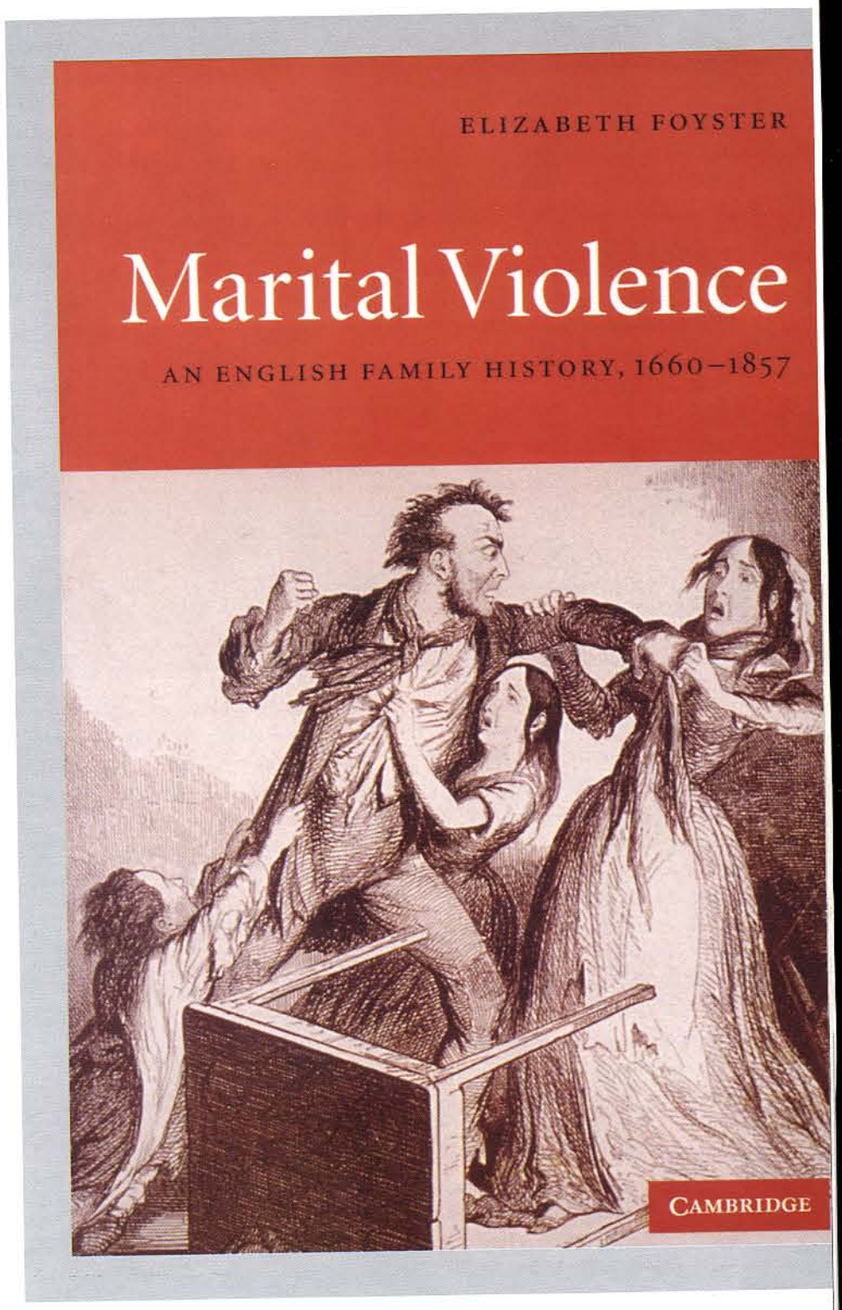

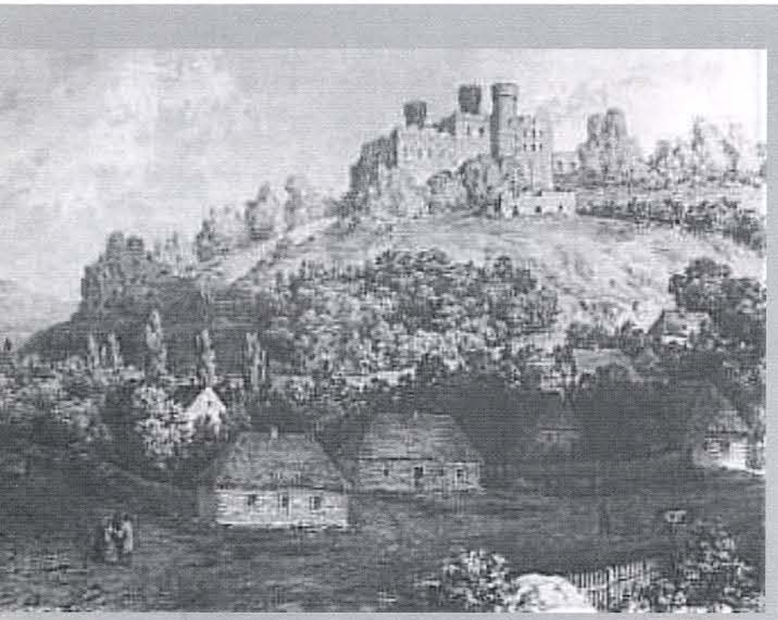

Ogrodzieniec - rycina E. Podbielskiego

„chłopówną". Groził jej nożem i próbował udusić, żeby zobaczyć „którędy śmierć zwykła chodzić". Gdy Anna zachorowała troszczył się o tarcice na trumnę dla niej, a nie o jej zdrowie. Oczerniał żonę, że upija się siedemdziesięcioma kielichami (ponieważ tylko taką liczbę znał). Gdy zmókł w czasie ulewy, obwinił o to wiejskie baby, każąc posłać je do 70 katów lub spalić na stosie. Katalog jego szaleńczych ekscesów ewidentnie świadczy o tym, że był chory umysłowo. Jedyną nadzieją dla Anny był powrót ojca, który obiecał wyzwolić ją z tego piekła. Niestety Michał Stanisławski zmarł w drodze powrotnej do domu. Warszyccy próbowali ukryć przed Anną śmierć ojca i zagarnąć całe dobra, ale Jan Kazimierz Warszycki (Ezop) wygadał się przed żoną, że Stanisławski nie żyje. Na szczęście Michał Stanisławski los córki powierzył w ręce hetmana Jana Sobieskiego. Sobieski i reszta rodziny postanowili wszelkimi sposobami pomóc Annie wydostać się spod jarzma Warszyckich. Anna ubłagała teścia, żeby zabrał ja na sejm elekcyjny do Warszawy (2 maja - 4 lipca 1669 roku). Kasztelan początkowo nie chciał się zgodzić, potem jednak zmienił zdanie i po przybyciu do stolicy umieścił ją w klasztorze, co okazało się zbawienne dla całej sprawy. Jan Kazimierz Warszycki czuł gniew do żony, że go opuściła, więc próbował ją nachodzić w klasztorze. Anna z pomocą możnych krewnych rozpoczęła dyskretne starania o unieważnienie małżeństwa. Pozew Anny trafił do Nuncjatury Apostolskiej, gdzie Stanisławska jako powód nieważności związku podała przymus ze strony rodziców, przemilczając kwestie dotyczące stanu umysłowego swego męża. W ten sposób Anna w roku 1669 zdołała się uwolnić od tyranii szalonego Ezopka.

W znacznie trudniejszej sytuacji znalazła się Marta z Trębickich Radziwiłłowa, żona krajczego litewskiego Marcina Radziwiłła. Jej umysłowo chory mąż był człowiekiem niezwykle okrutnym, słynącym z odrażających ekscesów, które były tolerowane ze względu na jego pozycję społeczną. Na temat trybu życia jaki wiódł Marcin Radziwiłł krążyły liczne sensacyjne opowieści. Marcin Matuszewicz w swoim diariusz odnotował: „Książę Marcin Radziwiłł, krajczy W. Ks. Lit., prowadząc swawolne życie i mając liczny swój saraj, był zawsze w bojaźni aby go konsystorz o to nie strofował". Zapis ten wyraźnie świadczy o tym, że Radziwiłł zdawał sobie sprawę z tego, że jego tryb życia jest sprzeczny z ogólnie przyjętymi normami społecznymi, ale zarazem nie widział powodu by to zmieniać. Zaniepokojona tym stanem rzeczy rodzina zdecydowała się wziąć niewygodnego krewnego w kuratelę. Do dworu w Czarnawczycach przybyli słudzy radziwiłłowscy w liczbie 200 by poskromić krnąbrnego księcia. Hieronim Florian Radziwiłł, który był odpowiedzialny za wzięcie Marcina w kuratelę, zapytał o jego żonę i „...oddał tedy książę krajczy klucze do tego pokoju, gdzie była zamknięta, i tak ją wyprowadzono, gdzie i książęta małe, synowie jej, zamknięte były w wielkiej niewygodzie i smrodzie, gdyż w jednej izbie spać, jeść i inne potrzeby natury czynić musieli". Przykład życia małżeńskiego Radziwiłłów to bez wątpienia przykład związku patologicznego, które zdarzały się rzadko. Jest to jednak zarazem dowód na to, iż chory psychicznie mąż mógł z łatwością nadużywać swej władzy, a żona mogła się bronić jedynie przy pomocy krewnych.

Często przyczyną konfliktów małżeńskich było pijaństwo. W społeczeństwie staropolskim, gdzie większość spraw załatwiano w czasie uczt mocno zakrapianych alkoholem, nadużywanie trunków nikogo nie dziwiło. Lecz często alkoholizm prowadził do różnego rodzaju wynaturzeń, które uniemożliwiały prowadzenie normalnego życia rodzinnego. O destrukcyjnym wpływie alkoholu na życie rodzinne świadczy przykład pożycia małżeńskiego Kazimierza Nestora Sapiehy i Anny z Cetnerów Sapieżyny. Anna Cetnerówna była jedynym dzieckiem wojewody bełzkiego Ignacego Cetnera i Ludwiki z Potockich Cetnerowej. Młodziutką jedynaczkę rodzice wydali za Józefa Paulina Sanguszkę. Niestety Józef Sanguszko wiosną 1781 roku podczas polowania uległ poważnemu wypadkowi. W wyniku doznanych obrażeń wewnętrznych zmarł 12 maja 1781 roku. Zanim minął prawem przepisany okres żałoby, liczne grono wielbicieli zaczęło zabiegać o względy młodej i bardzo zamożnej wdowy. Powszechnie wiadomym było, że wdowa po Sanguszce posiada - oprócz własnych dóbr - także majątek swego małoletniego syna, a w przyszłości otrzyma całą fortunę swoich rodziców. Wśród kandydatów do ręki Anny znaleźli się więc Seweryn Rzewuski i Kazimierz Nestor Sapieha. Sapieha o względy młodej wdowy zabiegał w jak najdelikatniejszy sposób. Z okazji urodzin swojej wybranki ułożył i opublikował sielankę "Mirtyl i Tyrsis". Starania romantycznego adoratora popierali m.in.: król Stanisław August Poniatowski, biskup Ignacy Krasicki i matka Kazimierza Nestora Elżbieta z Branickich Sapieżyna. Rodzina panny młodej miała wątpliwości co do słuszności wyboru kandydata. Kazimierz Nestor Sapieha nie miał najlepszej opinii wśród arystokracji polskiej. Podczas swego pobytu za granicą, szczególnie we Francji, zasłynął z hulaszczego trybu życia, romansów i pijatyk. W czerwcu 1782 roku odbył się jednak ich cichy ślub i młodzi małżonkowie udali się w podróż poślubną do Niemiec. Pierwsze nieporozumienia zaczęły się już w czasie podróży. Podczas pobytu w Alt-Wasser na Śląsku zabrakło pieniędzy na dalszą podróż do Berlina. Anna uznała, że należy wracać do domu, mąż zaś był odmiennego zdania i w brutalny sposób domagał się kontynuowania podróży. Małżonkowie z podróży poślubnej wrócili dość szybko i zamieszkali w Lubartowie (dobrach, które w dożywocie otrzymała księżna Sapieżyna od swego pierwszego męża). Książe Sapieha rzucił się w wir życia publicznego. W 1783 Sapieha „krwawo ingerował w sejmik deputacki lubelski popierając skarbnika lubelskiego Kazimierza Jastrzębskiego (podobno męża swej ówczesnej kochanki)". W tym czasie często przebywał on poza domem trwoniąc czas i pieniądze na alkohol i inne rozrywki. Anna - obawiając się utraty majątku - w 1784 roku opuściła swój pałac w Lubartowie i wyjechała do ojca do Krakowca.
Złożenie oficjalnej skargi na męża oznaczało definitywny rozpad małżeństwa. Z zeznań służby wynikało, że od początku małżeństwa mąż źle traktował żonę. W dokumencie czytamy: „Iż Xiążę Sapieha Generał w kilka dni po ślubie z Xiężną Żoną swoją bez wszelkiej dania sobie okazji, w czasie dyskursu i konwersacji z Xiężną w nadzwyczajną wpadł pasją, w której Xiężną Żonę najzelżywszemi łajał słowy z czego Xiężna JEymć. w chorobę zapadła.[...] widząc w tej chorobie Xiężną Żonę Swoją Xiążę Generał, bez wszelkiego względu na jej słabość w wielkiej Pasji krzyczał, i głosem nadzwyczajny odzywał się, głową o ścianę bił, i sam siebie ze złości gryzł. [...] Xiążę Jem z przyczyny nieoddalenia jednej służącej niewiasty przez Xiężnę małżonkę, porwał się do szamotania się z Xiężną, po tym udając, że samego siebie chciał dusić, Xiężnę chciał dusić, Xiężnę tak zmęczył, tym szamotaniem się z nią że z tej okazji w obłożną wpadła chorobę. [...] Xiężna Jejmość w największej zawsze zostawała bojaźni i strachu z powodu którego dostała choroby ustawicznych wymiot, z czego ją ledwo doktorowie wyprowadzili". Najwyraźniej Sapieha od samego początku był brutalny wobec żony, co wynikało zapewne z jego pijaństwa. Jak czytamy w dalszej części dokumentu „Książe Generał nie tylko codziennie pije lecz kilka razy na dzień upija się". Sapieżyna nie chciała znosić dłużej pijaństwa i brutalności męża, rozpoczęła więc proces rozwodowy i w ten sposób uwolniła się od pijaka i brutala.

Zaprezentowany tu, dość pobieżnie, obraz relacji małżeńskich przedstawia przykłady patologicznych związków małżeńskich, gdzie nad relacjami między małżonkami ciążyły choroba umysłowa bądź alkoholizm, ale takie małżeństwa bez wątpienia zdarzały się raczej rzadko. Przeważały związki małżeńskie oparte, jeśli nie na miłości, to na szacunku i zrozumieniu, w których oboje małżonkowie rozumieli, że przysięga małżeńska jest zobowiązaniem na całe życie.

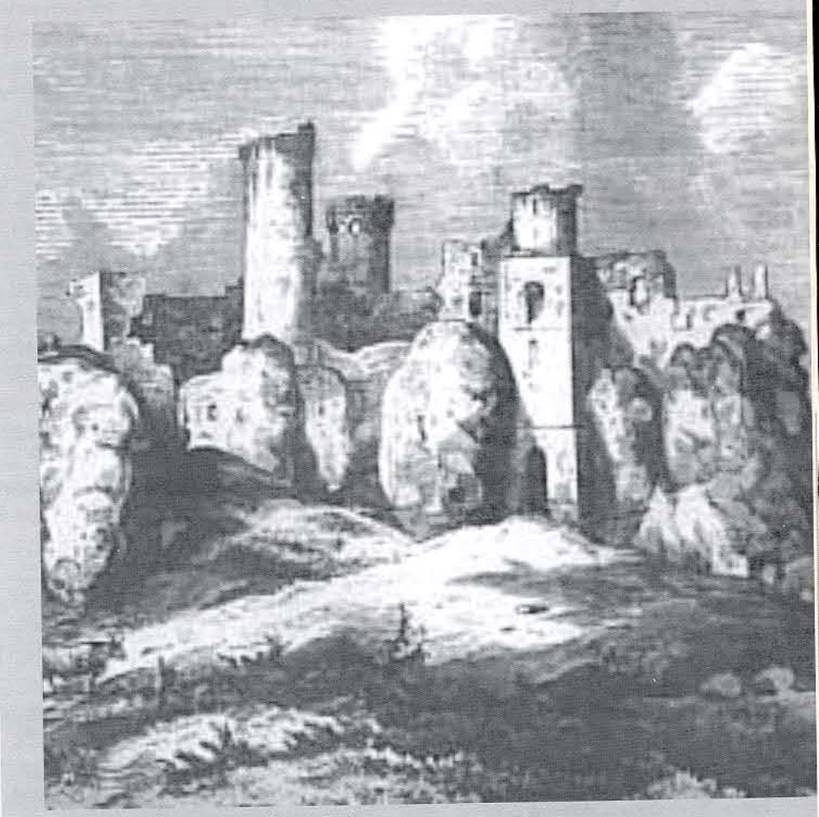

Ogrodzieniec - rycina Napoleona Ordy

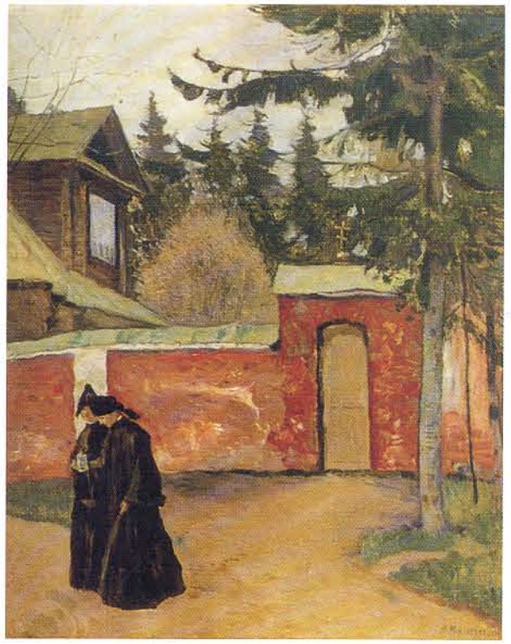

Zbrodnie w cieniu klasztoru

PIOTR CHOMIK

Monaster unicki w Borunach został ufundowany w 1691 roku. Na ten cel ziemię przeznaczył, na prośbę szlachcica Mikołaja Pieślaka, Michał Popławski, podstoli krzemieniecki, a także księżna Ludwikowa Radziwiłłówna, palatina Ruteni, Świętego Państwa Rzymskiego Elektorowa. Księżna przydzieliła również, dzięki staraniom Kazimierza Sapiehy, ówczesnego wojewody wileńskiego, hetmana Wielkiego Księstwa Litewskiego, swe znajdujące się w Puszczy Żuprańskiej ziemie dla nowopowstającego miasteczka Boruny oraz monasteru. Nadania te spowodowały szybkie zasiedlenie nowo powstałego miasteczka. Osiedlił się w nim również Mikołaj Pieślak.

Mikołaj Pieślak był opiekunem cudownej ikony, która według tradycji objawiła się w lesie nieopodal Borun. Kult ikony rozwinął się w wieku XVII i początkowo obejmował Oszmiańszczyznę, a później rozszerzył się na obszar całej Wileńszczyzny. O założeniu monasteru wspominał w swoich dziełach pisarz Ignacy Chodźko. W książce *Obrazy litewskie* pisał: „Puszcza to więc była zapewne głucha natenczas, gdy pokorni zakonnicy św. Bazylego, obrali tu sobie siedlisko".

Początkowo ikona boruńska była własnością Jozafata Brażyca (1635-1683), przełożonego bazyliańskiego monasteru św. Ducha w Mińsku. W tym właśnie czasie w Mińsku i okolicy panowało morowe powietrze, które zbierało ogromne śmiertelne żniwo. Wśród osób dotkniętych epidemią był również Jozafat Brażyc. Obawiając się śmierci modlił się przed ikoną i doznał objawienia Matki Bożej, która rzekła do niego: „Podoba mi się Synu gorliwość twoja, około Dusz Krwią Syna mego odkupionych, nie ustawszy, otom ci jeszcze życie uprosiła". Brażyc ozdrowiał i od tego czasu nie rozstawał się z ikoną Matki Bożej. W 1671 roku przejechał do Połocka, gdzie został przełożonym monasteru bazyliańskiego, a później także oficjałem unickiego metropolity kijowskiego Cypriana Żochowskiego (1674-1693). Wkrótce Jozafat Brażyc został przełożonym bazyliańskim w Witebsku. Przed śmiercią ikonę Matki Bożej przekazał swojemu krewnemu Mikołajowi Pieślakowi, zamieszkałemu w miejscowości Koźlakowszczyzna niedaleko Borun, polecając chronić ikonę jak drogocenną świętość. Brażyc zmarł w 1683 roku a przed śmiercią ponownie miała objawić się mu Matka Boża w takiej postaci, w jakiej przedstawiona była na ikonie boruńskiej.

Ikona ta była otoczona kultem jako cudowna. Autorem opisu cudów jakie zdarzyły się przed tą ikoną był Leon Kiszka, początkowo przełożony klasztoru w Supraślu, potem biskup włodzimierski. W swojej książce, wydanej w Supraślu w 1712 roku, a zatytułowanej *Morze Łask y szczodrobliwości Boskich w Puszczy Boruńskiey płynące to jest cuda Nayśw. Panny Boruńskiey w Borunach doznane*, Leon Kiszka opisał 468 cudownych wydarzeń, dokonanych za sprawą ikony boruńskiej. Cuda te miały miejsce od 1691 r. do 27 kwietnia 1712 roku. Jeden z tych cudów związany jest z Białymstokiem, a wydarzył się w 1709 roku i dotyczył Jana Klemensa Branickiego (1689-1771). Jak pisał Leon Kiszka: „dnia 7 marca Iego M. Pan Branicki, Woiewoda Podlaski, od ciężkich boleści już prawie konający, gdy obrazek Borunskiey Matki do piersi przykłada, zdesperowane od Doktorow w Białymstoku odbiera życie".

I oto nagle w cieniu klasztoru boruńskiego i znajdującej się w nim cudownej ikony natykamy się na zbrodnię. Żona Mikołaja Pieślaka Konstancja Stetkiewicz zostaje 24 listopada 1695 roku zastrzelona przez nieznanego sprawcę. O zabójstwo oskarżony został niejaki Jakub Sadowski, który miał być jej kochankiem. Leon Kiszka pisał natomiast, iż „znaki pokazywały", że zabójcą był Jan Pieślak, późniejszy spadkobierca Mikołaja Pieślaka, opiekun monasteru i cudownej ikony boruńskiej. W okresie tym trwał spór pomiędzy rodziną Pieślaków a mnichami boruńskimi. Spór ten rozpoczął się jeszcze za życia pierwszego kolatora boruńskiego – Mikołaja Pieślaka. Bazylianie zwracali uwagę, że korzystał on z pieniędzy cerkiewnych, przynosząc uszczerbek ośrodkowi kultowemu, a jego żona Konstancja Stetkiewicz prowadziła życie nierządne i wykorzystywała klejnoty z ikony boruńskiej do własnych celów.

Mikołaj Pieślak zmarł 17 września 1697 roku, polecając dokończenie budowy swojemu kuzynowi Janowi Pieślakowi. Jemu też powierzono opiekę nad bazyliańskim monasterem i nad cudowną ikoną. Wszystko to Mikołaj Pieślak miał powierzyć w testamencie datowanym na 1 września 1697 r. kuzynowi. Testament ten został upubliczniony przez Jana Pieślaka. Jednakże do prawdziwości testamentu wątpliwości zgłosili bazylianie. Leon Kiszka twierdził, że testament został sfałszowany. Autorem fałszerstwa miał być Jan Pieślak. Na mocy testamentu Mikołaja Pieślaka majętność Koźlakowszczyzna oraz ośrodek kultowy cudownej ikony w Borunach dostają się w ręce Jana Pieślaka i jego rodziny. Wkrótce Jan Pieślak przeszedł do Kościoła rzymskokatolickiego i twierdził, że bazylianie tylko czasowo mieli przebywać w Borunach. Powoływał się przy tym na testament Mikołaja Pieślaka, w którym zapisane było, że do klasztoru ma być sprowadzone duchowieństwo rzymskokatolickie, a w nabożeństwach unickich mają być wykorzystywane organy. Opisując te wydarzenia Leon Kiszka kwestionował prawdziwość testamentu twierdząc, że Mikołaj Pieślak „był kapłana pińskiego synem, a na obrazie litery ruskie były napisane". Leon Kiszka kwestionował też stwierdzenie zawarte w testamencie Mikołaja Pieślaka, że ten „żyje jako rzymski katolik i chce tak umrzeć". O prawdziwości słów Leona Kiszki świadczyło zeznanie świadka przed Głównym Trybunałem Litewskim, że Mikołaj Pieślak był synem duchownego.

Wydarzenia te spowodowały narastanie sporu pomiędzy mnichami a Janem Pieślakiem oraz jego braćmi Piotrem, Bazylim i Jakubem. Bazylianie oskarżali go o okradzenie ikony z wot: klejnotów, pereł i tabliczek srebrnych. W odpowiedzi Pieślak najpierw wyjednał sobie poparcie u Gedeona Szumlańskiego, oficjała mińskiego, a następnie osadził w Borunach duchownego rzymskokatolickiego, nadając mu włókę ziemi, wypłacał sobie pieniądze z kwot przeznaczonych na utrzymanie monasteru, a w końcu nie przyjął w Borunach wysłanego przez unickiego metropolitę kijowskiego Leona Załęskiego (1694-1708) do rozstrzygnięcia sporu komisarza Melecjusza Doroszkowskiego, archimandrytę leszczyńskiego.

Konflikt o charakter ośrodka kultowego trwał do początków XVIII wieku. W latach 1701-1702 sprawa była rozpatrywana przez Główny Trybunał Litewski. Do Trybunału trafiła skarga bazylianów boruńskich na krewnych założyciela cerkwi boruńskiej Mikołaja Pieślaka z powodu napaści i grabieży w cerkwi boruńskiej. Z zachowanych dokumentów wynika, że Pieślakowie przypisywali sobie prawa kolatorskie, mieszali się do zarządzania majątkiem. W końcu zaczęli też majątek grabić. Z cerkiewnego srebra zrobili sobie broń, z kamieni przy cudownym obrazie ozdoby do pantofli dla swoich kochanek. Za cerkiewny wosk kupowali sobie wino. Za sprzeciwy wobec swoich czynów Pieślakowie zasiekli rózgami dworzankę boruńską, niejaką Świdzińską. Pobili też mnicha Romualda Pawłowskiego. Pobicia dokonali Jan i Bazyli. Zachował się opis tego wydarzenia:

„Wprzód p. Bazyli Pieślak nadzagiem w głowę uderzył i ranę niemiłosierną zadał y okrwawił, po którego uderzeniu gdy na ziemię upadł, tamże leżącego niemiłosiernie a prawie tyrańsko (...) bili mordowali, i p. Bazyli Pieślak pastwiąc się nad leżącym wielebnym Ojcem Pawłowskim, krew z rany onego ssał, y za nieżywego na ziemi porzuciwszy, z odpowiedzią, ieżeliby od tego bicia żyć miał, za drugim razem naszedłszy na celę, albo też do cerkwi idącego przeiowszy, na śmierć zabić mieli. Jakoż w niedziel kilka po tym zbiciu i x. Pawłowski do cerkwi poszedł, tedy ciż i pp. Pieślakowie z mieszkania swego do (...) x. Pawłowskiego z pistoletów przez okna zmierzaiąc strzelać chcieli y gdyby ichmć xx. Zakonnicy natenczas będący od tej imprezy obżałowanych ichmć pp. Pieślaków prożbą swą nie hamowali, pewnie by na śmierć zabili."

Nie były to jedyne przypadki pobicia i stosowania przemocy przez Pieślaków wobec mnichów boruńskich. Pieślakowie pobili także teologa zakonu św. Bazylego o. Bobrykiewicza.

Mnisi również potrafili stosować przemoc wobec Pieślaków. Jan Pieślak został odłączony od Cerkwi przez metropolitę kijowskiego Leona Załęskiego. Informacja o tym wisiała na drzwiach cerkwi boruńskiej. Jan Pieślak zerwał ją i podartą jak jałmużnę rozdawał ubogim. Mnisi w odpowiedzi złapali pijanego Jana Pieślaka, związali, zakuli w łańcuch i zawieźli do Wilna. Nie udało się na razie niestety ustalić jakie były dalsze konsekwencje tego wydarzenia. Główny Trybunał Litewski swym ostatecznym wyrokiem z 1702 roku odebrał prawa kolatorskie do monasteru Janowi Pieślakowi i jego braciom.

Przed trzecim rozbiorem Polski, w okresie powstania kościuszkowskiego, w monasterze boruńskiem niejednokrotnie stacjonowali polscy powstańcy. W monasterze odbywały się też zebrania okolicznej szlachty. W czerwcu 1794 roku wojska rosyjskie wielokrotnie przechodziły koło Borun, a do nadzoru nad monasterem posłany był oddział pod dowództwem porucznika Polikarpa Pozniakowa. Z jego osobą związane są dzieje wydarzenia, zawierające zapowiedź przejścia monasteru boruńskiego pod jurysdykcję Kościoła prawosławnego. Polska szlachta nie chciała wpuścić wojsk rosyjskich do monasteru, dlatego Pozniakow zamierzał zająć monaster siłą. Jednakże nocą, w przeddzień planowanego ataku na monaster, objawiła się mu Matka Boża i powiedziała: „Polacy szukają schronienia w monasterze i modlą się do mnie o łaskę i obronę. Ocalę ich, chociaż miejsce to zasłynie prawosławiem. Zająwszy monaster nie zniszczysz go i zachowasz jego mieszkańców. Za twą

żarliwość i wiarę zanieś kopię z mojej ikony do Ojczyzny, a ja ochronię twój dom od zniszczenia i chorób". Pozniakow uczynił tak, jak poleciła mu Matka Boża. Kopia ikony boruńskiej początkowo znajdowała się w jego domu we wsi Rybaki na Smoleńszczyźnie, a później została przeniesiona do miejscowej cerkwi.

Na początku XIX wieku bazylianie otworzyli w klasztorze szkołę, która działała do 1831 r. W szkole tej uczyli się późniejsi studenci Uniwersytetu Wileńskiego: Ignacy Chodźko (1794-1861) pisarz, autor m.in. znanych *Pamiętników kwestarza* czy *Obrazów litewskich*, Leonard Chodźko (1800-1871), przyjaciel Adama Mickiewicza, historyk i wydawca emigracyjny oraz Antoni Edward Odyniec (1804-1885), również przyjaciel Mickiewicza, filomata, poeta i autor pamiętników.

Monaster boruński był prawosławny w latach 1841-1899. Później w zabudowaniach poklasztornych funkcjonowała parafia prawosławna. W 1919 roku utworzono tu, istniejącą do dzisiaj, parafię rzymskokatolicką św. św. Piotra i Pawła. W świątyni tej znajduje się od 1992 roku oryginał ikony boruńskiej, który miał być wywieziony z Borun przez mnichów unickich, w chwili likwidacji ich klasztoru.

U monastyrskich worot, Michaił Niesterow, 1925, Leningrad 1990

Andersonville

Wrota piekieł

ŁUKASZ NIEWIŃSKI

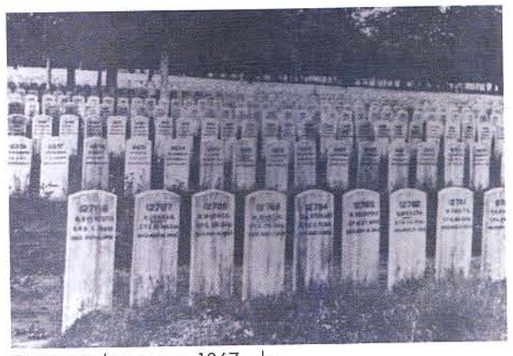

Cmentarz obozowy w 1867 roku

W listopadzie 1860 r. Abraham Lincoln został wybrany szesnastym prezydentem Stanów Zjednoczonych. W odpowiedzi na to 20 grudnia 1860 roku legislatura Karoliny Południowej zerwała unię łączącą ją z innymi stanami. W ślad za nią kolejne sześć stanów Południa ogłosiło wystąpienie z Unii (secesję). Dnia 4 lutego 1861 roku w Montgomery (Alabama), przedstawiciele zbuntowanych stanów utworzyli nowe państwo Skonfederowane Stany Ameryki (Konfederację - CSA). Na jej czele stanął prezydent Jefferson Davis. W 1861 roku „punkt zapalny", od którego wyszła iskra wojny, stanowiło miasto Charleston w Karolinie Południowej. Na jego terenie znajdowało się kilka fortów federalnych. Lincoln chciał sprowokować konflikt i 4 kwietnia 1861 roku publicznie zapowiedział wysłanie pomocy drogą morską garnizonowi stacjonującemu w Fort Sumter. 12 kwietnia 1861 roku o godzinie 4.30 zagorzały secesjonista Edmund Rufin, pociągając za sznur spustowy działa, rozpoczął wojnę domową. Na wieść o tym Lincoln 15 kwietnia 1861 roku zaapelował o 75 tysięcy ochotników. To posunięcie spowodowało wystąpienie z Unii kolejnych czterech stanów, które nie chciały podnosić oręża na swoich rodaków z Południa. Rozpoczęła się wojna, która przez czteroletni okres jej trwania pochłonęła ponad 600 tysięcy ofiar (więcej niż we wszystkich innych wojnach toczonych przez USA łącznie,). Nie wszyscy polegli zginęli bezpośrednio w trakcie działań wojennych. Nieco mniej niż 1/10 z nich utraciła życie przebywając w obozach jenieckich strony przeciwnej. Na terytorium Unii powstało 106 obozów, a na terytorium Konfederacji 117. Po zakończeniu działań wojennych Departament Wojny USA opublikował dokumenty stwierdzające, że przez okres wojny do obozów jenieckich Unii dostało się 200 tysięcy Południowców, z czego 26,5 tysiąca zmarło (13%). Z kolei do niewoli Konfederacji zostało wziętych 260 tysięcy żołnierzy Północy, z których 22,5 tysiąca zmarło (8%). Śmiertelność była więc wyższa w obozach Północy niż Południa. Na przykład w obozie Elmira (stan New York) wyniosła ponad 50%. Z kolei najwyższą łączną liczbę zgonów w obozach zorganizowanych przez Unię zanotowano w Point Lookout w stanie Maryland (3584 zmarłych).

Generał John H. Winder

Ale najbardziej jaskrawym przykładem brutalizacji wojny domowej był obóz Konfederatów w Andersonville (Georgia), w którym zmarło blisko 13000 jeńców, a więc ponad 50% spośród ogólnej liczby jeńców, którzy utracili życie w obozach Południa i około 25% wszystkich jeńców zmarłych w obozach utworzonych przez obie strony konfliktu.

Wybór miejsca lokalizacji obozu Andersonville był dziełem kpt. Sidneya Windera syna generała Johna H. Windera, późniejszego generalnego komisarza obozów Południa na wschód od rzeki Mississippi. Na mocy rozkazu sekretarza wojny Konfederacji Jamesa A. Seddona z 24 listopada 1863 roku, miał on wynaleźć miejsce na obóz położone na głębokim Południu, bezpieczne od ataku z zewnątrz i usytuowane w pobliżu linii kolejowej, w okolicy obfitującej w żywność. Powodem utworzenia nowego obozu było przepełnienie obozów jenieckich w Richmond (stolica Konfederacji, stan Wirginia), ich trudna sytuacja aprowizacyjna oraz obawa przed masową ucieczką jeńców i możliwością opanowaniem przez nich stolicy. Władze Południa postanowiły wybudować obóz z barakami do przetrzymywania od 8000 do 10000 jeńców.

Po odwiedzeniu kilku miejscowości (np. Blue Springs, Magnolia Springs) Sidney Winder wybrał ostatecznie miejsce położone w środkowej Georgii. Znajdowało się ono 11 km na zachód od rzeki Flynn i blisko 70 km na wschód od rzeki Chattahoochee, około 600 metrów na wschód od stacji Anderson, w hrabstwie Sumter. Oficjalnie obóz był nazywany Camp Sumter (od nazwy hrabstwa, na którego terenie był usytuowany, choć możliwym jest, że było to nawiązanie do nazwy miejsca pierwszego starcia wojny secesyjnej). Na Północy i wśród jeńców wojennych przeważała jednak nazwa Andersonville, pod którą przeszedł on do historii.

Pod koniec grudnia 1863 roku kpt.

Richard B. Winder (kuzyn poprzednika) otrzymał rozkazy ustawienia konstrukcji stokady, czyli wewnętrznej przestrzeni obozu oraz otaczającego ją „muru" z drzew sosnowych. Miała ona pomieścić początkowo 6 tys. jeńców. Wokół niej miano wybudować szereg placówek pomocniczych, m.in. baraków strażniczych, piekarni, wędzarni i szpitali (jednego w obozie, drugiego poza nim). W styczniu 1864 roku rozpoczęto ścinanie okolicznych, wysokich na 6 m, sosen. Do pracy przy powstawaniu obozu najęto wszystkich miejscowych niewolników. Sosny zostały obciosane i okorowane, a następnie osadzone w głębokim na 1,5 m wykopie, jedna obok drugiej. Otoczono nimi powierzchnię blisko 7 hektarów. Wokół powstałej w ten sposób palisady wznoszono w regularnych odstępach wieżyczki wartownicze, na które wchodziło się po drabinach. Do środka obozu prowadziły dwie bramy zwane „wrotami piekieł". Z braku funduszy, czasu i większej ilości robotników nie wybudowano baraków dla jeńców. Przez środek obozu płynął strumień, mający zaopatrywać jeńców w wodę zdatną do wszelkich czynności życiowych, szybko jednak zamienił się on w błotniste bajoro. Przez cały czas funkcjonowania obozu jeńcy mieli duże problemy ze zdobyciem czystej wody do picia. Obóz Andersonville został skonstruowany jako fortyfikacja zarówno o charakterze ofensywnym jak i defensywnym. Główna stokada została otoczona drugim szeregiem bali sosnowych o wysokości 5m. Rozpoczęto budowę trzeciego rzędu bali (wys. 4m), ale nigdy go nie ukończono. Drugi szereg bali miał chronić straże przed niespodziewanym atakiem z zewnątrz. Także w razie sforsowania przez jeńców pierwszej zapory, druga byłaby kolejną barierą. W czterech zewnętrznych rogach drugiej palisady usypano ziemne wały, na których umieszczono 4 zdobyczne działa gwintowane mogące pokryć ogniem wybrany zakątek obozu.

Pierwszym komendantem obozu i jednocześnie dowódcą garnizonu został 17 lutego 1864 roku ppłk Alexander W. Persons z 55 pułku piechoty z Georgii. Sprawował on tę funkcję do 17 czerwca 1864 roku. Potem ogólny nadzór nad całością sił i środków sprawował gen. John H. Winder. Z kolei sprawy jeńców podlegały Szwajcarowi kpt. Henremu Wirzowi - przybyłemu na miejsce 25 marca 1864 roku Był on jednak tylko komendantem obozu, a garnizon strażniczy już mu nie podlegał. Jeńcy nazywali go „śmiercią na siwym koniu", gdyż ubierał się w jasne barwy i cały czas ukazywał się im siedząc na wierzchowcu. Ostatnim komendantem garnizonu wojskowego Camp Sumter został 9 października 1864 roku płk George C. Gibbs.

Pierwsi jeńcy przybyli do obozu 25 lutego 1864 roku, gdy budowa palisady nie była jeszcze ukończona. Już dwa dni później zmarł pierwszy Jankes. Pierwsi jeńcy budowali sobie schronienia z resztek drewna pozostałych wewnątrz stokady. Przybywający później wykorzystywali do tego celu płachty namiotowe i koce. Kopano jamy i przykrywano je namiotami, częściami odzieży i igliwiem. Latem jeńcy byli wystawieni na palące promienie słońca, zimą cierpieli od przenikliwego chłodu. W czerwcu 1864 roku powiększono obszar stokady od północnej strony strony obozu o dodatkowe 4 hektary. Dzieła powiększenia obozu dokonano w trakcie jednego miesiąca wykorzystując pracę 130 jeńców. Dnia 1 lipca 1864 roku 13000 z ogólnej już wówczas liczby 25000 znajdujących się w Andersonville Jankesów przeniesiono do nowej części obozu.

W Andersonville byli przetrzymywani zarówno biali jak i czarni żołnierze Unii (podoficerowie i szeregowcy) oraz kilkuset cywilów (między innymi: markietanie, woźnice, pielęgniarze i telegrafiści). Czarnym żołnierzom przydzielano najgorsze prace, na przykład wynoszenie zmarłych z obozu. Istniał także odrębny podobóz, zwany Camp Reed, położony kilkaset metrów na zachód od głównej stokady. Do maja 1864 roku przetrzymywano tam w otwartych szopach 65 oficerów, zanim przeniesiono ich w inne miejsce. Pomimo bratobójczego charakteru walk w tej wojnie respektowano zwyczaj względnie przyzwoitego traktowania oficerów i nie umieszczano ich wspólnie ze zwykłymi żołnierzami.

Do kwietnia 1864 roku przerzucano do Andersonville jeńców z innych obozów jenieckich. Jednak od maja 1864 roku, wraz z rozwojem ofensywy gen. Ulissesa Simsona Granta, ilość jeńców wielokrotnie wzrosła i byli oni przewożeni bezpośrednio do Camp Sumter w niedługim czasie od wzięcia ich w niewolę. W lipcu 1864 roku główna stokada obejmowała powierzchnię 11 hektarów, na których umieszczono 29000 jeńców. Tymczasem dopuszczalna pojemność wynosiła zaledwie 10000. Z kolei w sierpniu jeńców było już 33000 i Andersonville stało się największym i najbardziej znanym obozem jenieckim na Południu.

Wraz ze wzrostem liczby jeńców zmniejszeniu uległy przydziały racji żywnościowych oraz pogorszyła się ich jakość. Początkowo dzienna racja składała się z ćwierć kilograma nie gotowanej mąki kukurydzianej, dwudziestu dekagramów wołowiny i łyżki soli. W połowie lata 1864 roku zmalała do kawałka chleba, czasem ochłapu mięsa lub garści gotowanego grochu. Zdarzało się, że przez kilka dni nie wydawano w ogóle żywności, np.: po udanych ucieczkach. Uciekano na rozmaite sposoby: w trakcie prac poza obozem, kopiąc tunele, czy też udając zmarłych (których wynoszono poza obóz na utworzony niedaleko cmentarz). Żołnierze strzegący obozu mieli do dyspozycji psy tresowane do polowania i odnajdywania ludzi i często korzystali z ich pomocy. Pomimo to zanotowano 329 ucieczek, wiele zakończonych powodzeniem. Po pierwszej z nich utworzono wewnątrz obozu, tzw. deadline - linię śmierci. Zbudowali ją niewolnicy z okolicznych plantacji. Był to rodzaj małego ogrodzenia z żerdzi i palików wbitych w ziemię. Ciągnęło się ono przez cały obóz w odległości 6 m od bali palisady. Jej przekroczenie, dotknięcie, a nawet zbytnie zbliżenie się do niej powodowało, że strażnicy z pobliskich wieżyczek strzelali do jeńców bez ostrzeżenia. Na marginesie warto dodać, że takie linie funkcjonowały w obozach po obu stronach konfliktu. Fakt ten był ukrywany przed opinią Północy przez własny rząd i wyszedł na jaw dopiero po powrocie jeńców konfederackich z obozów Północy w swoje rodzinne strony, po zakończeniu wojny. Czyniono tak ze względów propagandowych, starając się ukazać wroga w jak najgorszym świetle. Ujawnienie tej praktyki ujawniłoby natomiast identyczność poczynań obu stron konfliktu.

Straż wokół obozu pełnili początkowo żołnierze frontowi armii Południa z 55-go pułku piechoty z Georgii i 26-go pułku piechoty z Alabamy. W zgodnej opinii jeńców - którym udało się przeżyć - gorsi byli ci z Georgii. Mieli na sumieniu większość przypadków zabójstw jeńców. Od lata 1864 roku jeńców pilnowały oddziały tzw. rezerwy georgiańskiej, złożone z młodych chłopców i wiekowych starców. Wtedy też jeszcze częściej (nawet kilka razy dziennie) dochodziło do przypadków strzelania do jeńców. Po obozie krążyła pogłoska, że strażnicy za każdego zabitego Jankesa dostawali dwa tygodnie urlopu. Nie było to jednak prawdą, gdyż wówczas szybko zabrakłoby żywych więźniów.

W obozie często grano o żywność oraz prowadzono handel wymienny, zarówno wewnętrzny, jak i zewnętrzny ze strażnikami. Powstały liczne bandy obozowe, których jedynym celem stało się zdobycie żywności i innych użytecznych produktów. Dokonywano tego drogą wymuszeń, napaści i morderstw. Szczególnie narażeni na rabunek byli tzw. fresh fish, czyli nowi jeńcy, nie obeznani jeszcze z realiami funkcjonowania obozu. Skala zjawisk patologicznych była tak duża, że w końcu większość jeńców zmobilizowała się i wspólnymi siłami pojmała członków owych band, nie wywołując reakcji straży. Kapitan Wirz zezwolił na przeprowadzenie procesu według prawa wojennego armii Unii. Jeńcy osądzili swoich zdegenerowanych pobratymców i sześciu z nich powiesili, a trzech dalszych zmarło wskutek pobicia.

Z obozu można się było wydostać (poza przypadkami ucieczek) w zasadzie na dwa sposoby: albo zgadzając się na tak zwane galwanizowanie (wstąpienie do armii Południa), albo umierając. Niewielu wybrało służbę w wygłodzonych i obdartych wojskach Konfederacji. Zdecydowana większość zgonów była wynikiem głodu i chorób. Strażnicy zastrzelili łącznie ponad stu więźniów, z czego co najmniej kilkudziesięciu popełniło w zasadzie samobójstwo świadomie przekraczając deadline. Głównymi przyczynami zgonów były: szkorbut, biegunka, dyzenteria (czerwonka), tyfus, ospa i gangrena szpitalna, a więc choroby zakaźne i przewodu pokarmowego. Największa śmiertelność panowała w miesiącach letnich, od czerwca do września, ze względu na ogromne zagęszczenie jeńców, a co za tym idzie łatwość rozprzestrzeniania się chorób. Najtragiczniejszym miesiącem okazał się sierpień 1864 r., kiedy to zmarło blisko 3000 jeńców. Najwięcej osób (127) zmarło 23 sierpnia. Zmarłych chowano w masowych grobach. Ostatni jeniec utracił życie 28 kwietnia 1865 r. W Andersonville przebywało około czterdziestu Polaków, z czego ponad

Clara Barton

Kapitan Henry Wirz

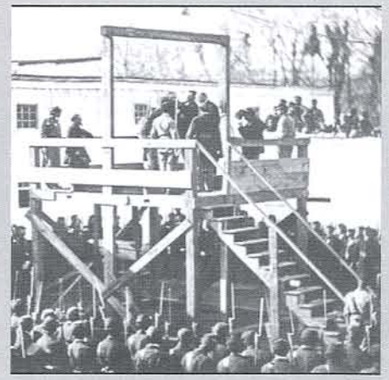
Wykonanie wyroku na H. Wirzu

latryny w Andersonville

Wydawanie racji żywnościowych

Pochówek zmarłych - lato 1864

dwudziestu zmarło.

Wśród tego koszmaru śmierci było i kilka osób pomagających jeńcom. Wymienić można tu katolickiego kapłana, ojca Petera Whelana i pielęgniarkę-ochotniczkę - Klarę Barton. W obozie znalazło się także małżeństwo: kpt. Harry Hunt i jego żona Janie, która nierozpoznana urodziła w obozie dziecko. Stanowiło to przedziwny kontrast w porównaniu do tysięcy zmarłych tam jeńców. Po odkryciu tego faktu, całą rodzinę wypuszczono z obozu na słowo honoru.

Przez pierwszy rok wojny rząd Unii odmawiał prowadzenia negocjacji w kwestii wymiany jeńców wojennych, gdyż nie uznawał Konfederacji za naród, tylko za rebelię części mieszkańców USA. Dopiero w lipcu 1862 roku zdecydowano się na dokonywanie wymiany. Generał Unii Henry Wager Halleck rozkazem z 25 maja 1863 roku wstrzymał wymianę oficerów obu armii, co zapoczątkowało proces zmniejszenia wymiany szeregowych żołnierzy. Na początku 1864 roku inny generał Północy Ulisses Simpson Grant całkowicie wstrzymał wymianę. Jeńcy obu stron pozostali w obozach przeciwnika. Na przełomie lat 1863/1864 Lincoln zaaprobował rozkazy wymienionych generałów. Celem takiego posunięcia było doprowadzenie do jak najszybszego wyczerpania rezerw ludzkich Konfederacji. Lincoln zdawał sobie sprawę, że tym samym wydaje wyrok śmierci na tysiące żołnierzy Unii przebywających w strasznych warunkach w obozach jenieckich Konfederatów. Podobnie złe warunki panowały i w obozach Unionistów. Lincoln mógł doprowadzić do uwolnienia jeńców z Andersonville, ale jego zdaniem z militarnego punktu widzenia lepszy był marsz generała Williama Tecumseha Shermana w kierunku morza. Dla szybkiego zakończenia wojny i ratowania Unii gotów był poświęcić życie kolejnych tysięcy obywateli Północy, których poświęcać nie musiał. Lincoln wraz z rozpoczęciem wojny dokonał wyboru i nie zamierzał zmieniać raz obranej drogi postępowania. Wstrzymanie wymiany jeńców stanowiło przykład determinacji, gdyż dla doprowadzenia konfliktu do zwycięskiego końca, prezydent Unii poświęcił życie tysięcy współobywateli. Jeńcy dostrzegali bierność własnego rządu i w miarę przedłużania ich cierpień równie mocno nienawidzili władz Konfederacji, jak i Unii.

We wrześniu 1864 roku większość więźniów z Andersonville - mimo braku bezpośredniego zagrożenia - została przeniesiona do innych, położonych jeszcze dalej od teatru działań wojennych obozów. Ponad 8000 najsłabszych i najbardziej chorych pozostawiono w obozie. Od września do kwietnia 1865 roku około 5000 z nich zmarło. Pozostali wyglądali jak chodzące szkielety. Po uwolnieniu przez własne wojska, zostali dokładnie sfotografowani. Zdjęcia wysłano do gazet na Północy w celach propagandowych. Dla większości jeńców, którym udało się przeżyć piekło Andersonville, nie był to jednak koniec koszmaru. Część z nich przetransportowano do Vicksburga (stan Mississippi), skąd drogą wodną (rzeką Mississippi) mieli zostać rozesłani do rodzinnych stanów. Załadowano ich w liczbie ponad 2000 na statek parowy USS „Sultana", który mógł przewozić jednorazowo ledwie 400 pasażerów. Dnia 28 kwietnia 1865 roku miała miejsce największa katastrofa w dziejach wodnych USA. Na statku doszło do wybuchu kotłów parowych i blisko 1700 byłych jeńców znalazło swój grób w nurtach Mississippi.

W lipcu 1865 roku Kongres USA wysłał do Andersonville komisję celem udokumentowania zbrodni związanych z obozem. Raport komisji wywołał masowe poruszenie opinii publicznej na Północy, ale jedynie niektórzy sprawcy gehenny jeńców Andersonville ponieśli konsekwencje. Generał John H. Winder nie doczekał końca wojny - zmarł 6 lutego 1865 roku. Komendantom wojskowym obozu nie postawiono żadnych zarzutów. Jedynie kpt. Henremu Wirzowi, jako odpowiedzialnemu za sytuację jeńców, wytoczono proces o zbrodnie wojenne (miał on miejsce w dniach 21 sierpnia - 6 listopada 1865 roku). Został on uznany za winnego a wyrok śmierci wykonano na nim 10 listopada 1865 roku W trakcie egzekucji zgromadzeni wokół żołnierze krzyczeli: „Wirz. Pamiętaj Andersonville!".

Organizacja Andersonville i innych obozów jenieckich w trakcie wojny secesyjnej oraz ówczesne traktowanie jeńców wojennych zbliżone było w niektórych aspektach do sytuacji jeńców niemieckich i radzieckich, wziętych do niewoli w działaniach na froncie wschodnim oraz sytuacji ludności cywilnej w obozach koncentracyjnych i łagrach w latach II wojny światowej. W odróżnieniu od obozów późniejszych, obozy okresu wojny secesyjnej charakteryzowały się jednak o wiele mniejszą liczbą ofiar oraz w zasadzie brakiem praktykowania w nich pracy przymusowej czy też eksperymentów medycznych. Reasumując, Andersonville słusznie zostało nazwane przez współczesnych „najlepszym przykładem piekła na ziemi", a blisko trzynaście tysięcy grobów stanowi po dziś dzień skazę na wizerunku społeczeństwa amerykańskiego.

Literatura polska:

Na polskim rynku wydawniczym nie ma literatury fachowej na temat obozu Andersonville i pozostałych obozów jenieckich obu stron. Ukazała się tylko nakładem wydawnictwa MON, nagrodzona nagrodą Pulitzera powieść: K. MacKinlay'a, *Andersonville,* Warszawa 1961. Dostępny jest też film Johna Frankenheimera z 1994 r. pt. *Andersonville* (niestety jedynie w formie kasety VHS).

Literatura obca:

L. R. Speer, *Portals to Hell. Military Prisons of the Civil War,* Mechanicsburg, Pa 1997.

O. L. Fuch, *History of Andersonville Prison,* Gainesville, Fl., 1999.

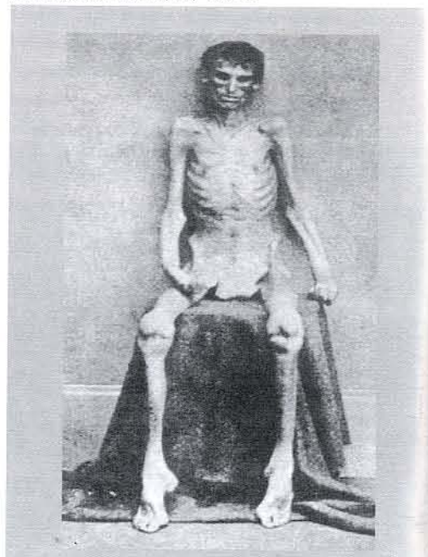

Jeden z ocalałych jeńców

Dlaczego warto studiować historię?

- Po prostu jest ciekawa!
- bez historii nie ma kultury,
- „jest nauczycielką życia" (Cyceron),
- historia to nie tylko dzieje poszczególnych epok, ale też zagadnień dotyczących np. wojskowości, seksualności, sztuki itp.
- możesz zdobyć ogólnohumanistyczne przygotowanie zawodowe i doskonałą podstawę do dalszych studiów humanistycznych na innych kierunkach,
- w zależności od specjalizacji uzyskujesz wiedzę i kompetencje do pracy w zawodzie nauczyciela, w instytucjach kulturalnych, archiwach i administracji, dziennikarstwie i polityce,
- dzięki poznaniu warsztatu historycznego nie dasz się manipulować mediom i politykom,
- „jej istnienie stanowi konieczny warunek pełnego rozwoju homo sapiens" (M. Bloch).

CERTYFIKAT
Nr 76/2002
KONFERENCJA REKTORÓW UNIWERSYTETÓW POLSKICH
W UZNANIU WYSOKIEJ JAKOŚCI KSZTAŁCENIA
na wniosek UNIWERSYTECKIEJ KOMISJI AKREDYTACYJNEJ
podjęta w dniu 25 czerwca 2002 roku
kierunkowi historia
prowadzonemu w
Uniwersytecie w Białymstoku
AKREDYTACJI NA LAT 5 - NASTĘPNYCH
Poznań 28 czerwca 2002 roku

Dlaczego warto studiować historię w Białymstoku?

- Nie tracisz kontaktu z przyjaciółmi, rodziną i jej portfelem,
- poznasz ciekawy region,
- studiujesz w „przytulnym" ośrodku miejskim i kameralnych, przyjaznych warunkach,
- zapewniamy kompetentną kadrę naukową związaną nie tylko z Białymstokiem, ale też Warszawą, Toruniem i Krakowem,
- posiadamy Certyfikat Jakości Kształcenia,
- dzięki współpracy naszego Instytutu z zagranicznymi ośrodkami naukowymi poznasz wyniki badań historyków europejskich,
- Program Sokrates/Erasmus umożliwia odbycie części studiów na innych uniwersytetach europejskich,
- studenci dysponują nowoczesną biblioteką uniwersytecką i najlepszym księgozbiorem humanistycznym w regionie.